

PREZENTUJEMY

Andrzej Marek Kiejza, urodził się w 1963 r. w Niemodlinie, na Opolszczyźnie. Jest kapłanem należącym do Warszawskiej Prowincji Zakonu Kapucynów. Nagrodzony wyróżnieniem w Ogólnopolskim Konkursie Poezji Religijnej *O kromkę razowego chleba* (Puławy 1993 r.) i dostał pierwszą nagrodę Lubelskiego Oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich za zbiór p.t. *Niepokój jaskółek* (Lublin 1995 r.). Wydał zbiory poetyckie: *Na obraz i podobieństwo* (Lublin 1996 r.), *Pokój z widokiem na księżyc* (Lublin 1997 r.), *Ziemia przyjazna* (Sandomierz 1999 r.), *Inne życie* (Sandomierz 2000 r.) oraz *W mieście L.* (Sandomierz 2003 r.).

przygotuj mi serce na radość

święty Janie od adwentu
przygotuj mi serce
na radość opłatka
kruchego jak odrobina śniegu
na wyciągniętej dłoni
przygotuj mi serce
na pojednanie po latach
wypowiedziane uczciwie
ze łzami w oczach
słowa nieporadnych
życzeń

przygotuj mnie na ciepło wigilii
w zimowy wieczór
na światło nocą
na Dziecko ważniejsze
od wszystkich dorosłych
na Boga w ludzkim cielem
żebym w surowej ziemi
mojego wygnania
nie uronił z tego
ani jednej kropli

szopka

we wszystkich szopkach
podniosły nastroj
są pasterze pokorni
dostojni mędracy
dary
łzy
wzruszenia
uśmiechy
wół i osioł
jak śnieg jasne owieczki

Józef z Maryją
aniołowie zlatują
ze strzechy
jakaś radość świąteczna
święty niepokój
chwili co ze szczęścia
w wieczność się dłuży
a ja na kolanach
patrzę tylko jak Dziecko
koledzą ze snu zbudzone
swoje oczka prześlicznie mruży

w szopce

Józefowi jak w kołodzie
pośpiesznie lat dodano
siwą brodę i laskę do ręki
Maryi błękitną sukienkę
(choć dzisiaj nikt już
nie ubiera się w niebo)

mędrcom tureckie ubiory
żydowskie podarki
wielbłądom wydatne tobołki
i złożone uprząże
wołowi siano
owcom białe runo
jak śnieg puszyste
pasterzom kożuchy małopolskie
i czapki podhalańskie
w to polskie betlejemskie
narodzenie Pańskie

a więc to dlatego

a więc to dlatego przyszedłeś
by z bliska przyjrzeć się naszemu łzom
i milczeć ze współczuciem
nad bólem nie do zniesienia

by wiedzieć
co znaczy droga pod górę
z ciężarem win na ramionach
by zrozumieć
ile musi wytrzymać ludzkie serce
rozdarte między błękitem a ziemią
żeby odczuć
co znaczy chcieć i pragnąć
i jak bardzo można tęsknić za niebem

a więc to dlatego
my z prochu ziemi utkani
pomiędzy nami
dzisiaj mamy Ciebie

POWŚCIĄGLIWOŚĆ I PRACA

MIESIĘCZNIK KATOLICKI
WYDAWANY NAKŁADEM
XX MICHALITÓW

SPIS TREŚCI

- PREZENTUJEMY – ks. A. M. Kiejza OFM Cap 2
- PO STAREMU – ks. M. Gładysz CSMA 3
- CZEKAM NA TĘ ŚWIĄTĄ NOC
– rozmowa z bp. J. Zawitkowskim 4
- KATOLIK – PERSONA NON GRATA?
– B. Fedyszak-Radziejowska 6
- BÓG ZAPŁAĆ, PROFESORZE! – ks. M. Gładysz CSMA 7
- POCHYL SIĘ NAD ŻYCIEM! – I. Sikora 8
- ONZ ZALEGA POLAKOM ZABIJAĆ DZIECI!
– abp Józef Michalik, przewodniczący KEP 9
- 586 NOCY – G. Karbowiak 10
- BITWA O IPN – S. Niesiołowski 11
- POSTRACH EUROPY – M. Klecel 12
- TE SAME ULICE W PRUCHNIKU
– ks. S. Łącki CSMA, P. Smogorzewski 13
- ALBERT ORGANISTA – H. Oleschko 16
- CZY MOGĄ MIEĆ NADZIEJĘ? – H. Szczepański 18
- ŚWIĘTY MARKET – G. Guttman 19
- LEWICA, DIALOG, BIEDA (cz. 1) – P. Gospodarski 20
- NIEDOJRZAŁOŚĆ DEMOKRACJI – J. Wegner 21
- CIERNISTA DROGA – C. Bunikiewicz 22
- NIEUMIARKOWANIE – M. Szreder 23
- EWOLUCJA – J. Trammer 23
- WŁASNA DROGA WSCHODU – A. W. Pawluczuk 24
- MAŁŻEŃSTWA MIESZANE – ks. R. Nęceć 25
- SACRUM Z WIEDNIA – J. Kossakowski 27
- SONYETY RÓŻAŃCOWE – rec. ks. M. G. 28

FOT. OKŁADKA I – G. Gałązka (Złobek z Bazyliki M.B. Anielskiej w Asyżu wykonany przez Michelangela Pulciniego)

Numer zamknięto 20 listopada 2004 r.

ks. Mieczysław Gładysz



Po staremu

Pewien znany i świętobliwy ojciec duchowny nie mógł się wprost opędzić od natrętnych pytań młodego gorliwego kandydata do służby Bożej. Ten ciągle pytał: co ma jeszcze zrobić, jak się przygotować do tego? Roztropny starzec poradził młodzieńcowi, by przez miesiąc pomagał właścicielowi małej miejscowej jadłodajni. Młodzieniec posłuchał kapłana. Nawet zamieszkał przy wspomnianym właścicielu. A ten codziennie skoro świt – po krótkiej modlitwie – pędził do swej restauracyjki... I tak w koło. Przez cały miesiąc. Gdy młodzieniec wrócił do ojca duchownego, z pewnym niesmakiem, czy nawet zawodem, przedstawił mu miniony miesiąc. Ten wysłuchał cierpliwie, a na końcu zapytał: – Co właściwie robił ten człowiek? – Właściwie najważniejszym zajęciem tego czelaka – odparł chłopiec – było utrzymywanie naczyń w takiej czystości, aby nie pozostał na nich najmniejszy ślad potraw, a także wycieranie i czyszczenie do sucha wszystkich sprzętów, aby nie pojawił się na nich nawet najmniejszy ślad rdzy... Starzec z namysłem powiedział: – No to teraz, kochany, już wiesz, jak przygotować duszę na służbę Panu... – Żeby nie zardzewiała? – głośnie myślał chłopiec...

Po to w Kościele jest Adwent, by chrześcijanin nie zardzewiał... By nie zardzewiała narządza jego służby Bogu i ludziom. By oczy nie zachodziły mgłą, gdy trzeba dojrzeć przyjście Pana w ludzkiej biedzie, by uszy nie bagatelizowały sygnałów krzywdy, by język nie ustawał w potwarzaniu prawdy, by stopy decydentów kierować na drogę pokoju. Czyszczyć intencje! Szklaniec ducha. Zaprawiać ręce mozołem!

Oto nasz Adwent! Nasze szukanie odpowiedzi na dramatyczne pytanie Chrystusa: *Gdy Syn Człowieczy przyjdzie, czy znajdzie jeszcze wiarę?* Herod bardzo gorliwie szukał Jezusa, znacząc swe ślady krwią pomordowanych dzieci – potencjalnych nosicieli imienia Jezus... A potem żołnierze pilnujący grobu Chrystusa wzięli wielkie pieniądze, by mówić, jak ich nauczono: *Myśmy spali!*...

Istotą naszego przygotowania na godne obchody pamięci Narodzin Zbawiciela – to chyba jakieś uodpornienie zarówno na współczesnych Herodów, rzekomo chcących oddać pokłon – a naprawdę chcących zabrać życie – jak i na rzekomo śpiących świadków, mających pełne usta paplaniny o wolności religii – podczas gdy tak naprawdę chodzi im o wolność religii, ale od Boga...

Bowiem u jednych i u drugich po staremu: *nie ma miejsca w gospodarze...* dla prawdziwego Zbawcy... ■

Wiele znaków przeżywamy w Wigilię.
Nagromadziła je wiara ojców naszych,
którzy zostawili nam tak wielki depozyt kultury,
ale ta korzeniami tkwi w ich wierze.

To my dzisiaj będąc na Pastercie
rozumiemy, że nasi rodzice
tej głębokiej teologii
nauczyli się w rodzinnym domu.

Dlatego stół w domu
mama przykrywała białym obrusem, stawiała świece,
aby był podobny do ołtarza.

Dlatego tata przynosił sianko
i kładł pod obrusem,
a mama opłatek owinięty w serwetę
kładła na sianku,

jakby był Dzieciątkiem
owinięty w pieluski i położony w żłobie.

Wolne miejsce zostawiamy przy stole
dla Gościa Oczekiwanego,

który przyjdzie tej nocy do naszego domu.

Tej nocy tak bardzo pragnę być wśród swoich.
Tej nocy tak bardzo pragnę dzielić się chlebem
takim samym jak we Mszy Świętej.

Piękni są ludzi w Wigilię,
bo nie wstydzą się być dobrzy.

I mówią sobie dobre słowa.

I płaczą.

I dzielą się chlebem.

I wypowiadają sobie sercem ludzką dobroć.

Są tacy dobrzy, jakby nie byli stąd.

Dlatego tak czekam na ten święty wieczór,
dlatego czekam na tę świętą noc,

kiedy będę mógł zaśpiewać
Wśród nocnej ciszy...

Wy, ojcowie – moi upracowani chłopci,
którzy w dniu dzisiejszym wnosicie do domu
sноп urodziwego zboża,
wy to wiecie,

że Chrystus narodził się w Betlejem,
to znaczy w Mieście Chleba.

On daje obfitość chleba.

Niech wam obrodzi obficie.

A wszyscy, którzy SA głodni,

niech korzystają z dobroci ziemi

i z pracy rąk waszych...

Nie bądźcie już smutni.

Od dziś będą dłuższe dni.

Będą skrać się noce.

Niech minie wszystko, co jest ciemne.

Niech zamarznie i niech będzie zapomniane.

Niech już przyjdą dłuższe dni

i miejcie nową nadzieję.

Nie bądźcie smutni!

Dziś niebo całe raduje się

i anioły śpiewają:

Chwała na wysokości Bogu!

I mówią Bogu o nas, ludziach dobrej woli.

Zamieście radość do domu.

Świętujcie jako chrześcijanie.

Zostawcie ludziom w sercach święteczną radość.

I z tymi, którzy będą waszymi gośćmi,

dzielcie się opłatkiem.

Niech Bóg zostawi w sercach wszystkich pokój i wiarę,

że przyjdą nowe, lepsze dni...

Tak powiedział naszym Czytelnikom z okazji świąt Bożego Narodzenia ksiądz biskup Józef Zawitkowski.

Czekam na tę świętą Noc

Biskup Józef Zawitkowski – używający także literackiego pseudonimu: **Ksiądz Tymoteusz** – znany jest jako jedyny poeta wśród polskich biskupów. Zakochany w ojczystym języku, w kulturze i folklorze. Każde Jego radiowe kazanie – tak starannie przygotowane – jest wydarzeniem homiletycznym, chętnie przedrukowywanym przez różne periodyki, nie tylko katolickie.

Ksiądz Tymoteusz jest autorem wielu modlitewników, pieśni i wierszy. Jego unikalna twórczość katolicko-patriotyczna została wydana w kilkunastu

książkach, które zawsze cieszą się popularnością. Urzeka wszystkich słuchaczy swoim charakterystycznym: **Kochani moi** – zwrotem ujmującym miłością nawet najtwardszych odbiorców kazań mówionych tzw. białym wierszem. Ksiądz Biskup zawsze podkreśla swoje chłopskie pochodzenie i miłość do wsi łowickiej. Jest też kapłanem niezwyklej dobroci, pokory i skromności. O sobie opowiada krótko:

– Urodziłem się w roku 1938 w Wale, małej wiosce należącej do parafii Żdźary. Pochodzę z chłopskiej, bar-

dzo religijnej rodziny, gdzie praca i modlitwa przenikały się wzajemnie.

U nas wszystko było nabożeństwem. Gdy patrzę na prace polowe mojego taty i dziadka, to wszystko było połączone z modlitwą. Niewątpliwie oni wywarli wpływ na moje późniejsze powołanie kapłańskie. Wcześniej zostałem sierotą, bo już w wieku 12 lat straciłem swoją ukochaną mamę. Pozostało nas wtedy pięcioro rodzeństwa oraz tata, który wtedy powiedział wymownie, wskazując na duży obraz Matki Boskiej: – **Ona teraz będzie wam Matką.** Swoją rodzo-



ROT. B. NOWAK

namą matkę pamiętam zawsze młodą, z warkoczem, tak jak na tym portrecie, który wisi nad moim łóżkiem w sypialni. Ona zawsze mnie we śnie ostrzega przed tym, co mogłoby mi się przydarzyć złego. Czuję Jej nieustanną troskę do dnia dzisiejszego...

Kto sprawił, że kazania Księdza Biskupa mają tak życzliwy styl poetycki, którego chętnie słuchają także niewierzący?

Na pewno początków mojego umiłowania języka ojczystego i całej naszej literatury należy doszukiwać się w moim wiejskim domu rodzinnym w Wale. W czasie okupacji i w okresie Powstania Warszawskiego przebywało u nas nawet 17 osób. Dla wszystkich starcało chleba. Dziadek był tak mądry, że w każdy wieczór, tuż po kolacji, kiedy kobiety przędały kondziel, zarządził, żeby tata lub ciotka Weronka, albo wujek Tadek, czytali książki polskich klasyków. To rozwijało moją wyobraźnię i zainteresowanie naszą literaturą.

Miałem też to szczęście, że zarówno w szkole podstawowej (pani Pietrzakowa), w szkole średniej (pani Trawińska), jak i w seminarium duchownym miałem wspaniałych polonistów. Jednak największy wpływ wywarł na mnie kapłan

– poeta Jan Twardowski. Byłem pilnym uczniem księdza Jana w czasie mojej warszawskiej edukacji w szkole średniej. W czasie swoich niezwyklej lekcji języka polskiego był bardzo konkretny i zwięzły. Znany jest przede wszystkim z religijnych wierszy dla dzieci. Na jego Msze św. do kościoła siostrzy witek przychodziły tłumnie dzieci, przeważnie z rodzin inteligentek. W swojej twórczości trochę naśladowałem mistrza księdza Jana, potem wykrystalizowałem własny styl pisania.

Gdzie tkwi tajemnica niezwyklej powodzenia ŻYWEGO SŁOWA w okresie tak ogromnej dominacji technicznych środków masowego przekazu?

Dzisiejszy człowiek, pomimo tak galopującego rozwoju telewizji, radia, Internetu oraz innych środków komunikowania się, jest głodny ŻYWEGO SŁOWA. By było ono skuteczne w odbiorze, musi być mówione z miłością. Ono czasem może być powiedziane bardzo mocno, ale ja nie mogę nikogo obrazić. Nie moim zadaniem jest, żeby kogoś poniżyć, obnażyć i ośmieszać. Każdego pragnę podnieść na duchu właśnie ŻYWYM SŁOWEM, bo wtedy łatwiej człowiekowi żyć, spojrzeć na siebie i na innych. Latwiej też popatrzeć na świat, że – mimo wszystko – jest piękniejszy i lepszy. W tym miejscu muszę wyrazić podziękowanie swemu mistrzowi dykcji Kazimierzowi

Orzechowskiemu – aktorowi Teatru Polskiego, który uczył mnie w seminarium duchownym dykcji. Później ten aktor został kapłanem...

Czy znajomości profesjonalna muzyka przydaje się Księdzu Biskupowi w formułowaniu kazań?

Jestem Bogu i ludziom wdzięczny za te dodatkowe studia muzyczne, które okazały się niezwykle pomocne w formułowaniu kazań do współczesnego odbiorcy słowa. Niedobrze jest, gdy człowiek ma coś do powiedzenia publicznie, a nie umie operować głosem, gdyż granie na jednej piszczałce, na jednym głosie – usypia i trzeba dużego wysiłku, żeby tego słuchać. Niestety, są takie wykłady, referaty, kazania... Żle jest też, jeśli mówiący wskakuje na najwyższe tony i takim głosem dręczy słuchacza. Homilia musi być koncertem, a więc musi być formą muzyczną. To znaczy powinien być zapowiedziany temat. Tak, jak u Bacha – jedną melodią zapowiada się inne głosy, dochodzi się do punktu centralnego i tam jest cała dynamika. Tego sposobu głoszenia homilii nikt nie uczy. Mój sposób mówienia ma nie męczyć i wciągnąć w tematykę kazania tak, by człowiek je akceptował. Chciałbym dotknąć człowieka noszącego w sobie zło, które go męczy i niszczy. Nie chciałbym go dobijać następnym złem, bowiem zło wyzwała zło.

Dziękuję za rozmowę i piękne życzenia dla Czytelników PiP.

Bogdan Nowak



*Wolamy
by Ciebie zmusić
do mówienia
lecz Ty czekasz
z odpowiedzią
aż serce
stanie się naczyniem ciszy*

s. Danzida Rydl CSSMA

Wszystkim Czytelnikom PiP życzymy owocnego przeżycia Adwentu, aby serca stały się naczyniami ciszy, w których narodzi się Boża Dziecina z pełnią mocy i łask potrzebnych do dźwignienia codzienności...

Redakcja PiP

ZWYCZAJNIE RZECZ BIORĄC

Powszechna Deklaracja Praw Człowieka, przyjęta i ogłoszona przez Zgromadzenie Generalne Narodów Zjednoczonych 10 grudnia 1948 r., w artykule 18. głosi: *Każdy człowiek ma prawo do wolności myśli, sumienia i wyznania; prawo to obejmuje swobodę zmiany wyznania lub wiary oraz swobodę głoszenia swego wyznania lub wiary bądź indywidualnie, bądź wespół z innymi ludźmi, publicznie i prywatnie, poprzez nauczanie, praktykowanie, uprawianie kultu i przestrzeganie obyczajów...*

Katolik – persona non grata?

Co znaczy dzisiaj prawo do wolności myśli, sumienia i wyznania w Europie? Jak interpretować to, co stało się 27 października br. w Strasburgu, gdy desygnowany na przewodniczącego *Komisji Europejskiej (KE)* Jose Manuel Barroso wycofał, w obawie przed odrzuceniem przez *Parlament Europejski*, swoją propozycję składu *KE*. Spór dotyczył Rocca Buttiglioneo, ministra ds. europejskich w rządzie S. Berlusconiego przewidzianego na stanowisko komisarza ds. sprawiedliwości, wolności i bezpieczeństwa, którego przekonania nie spodobały się socjalistom, liberalom i zielonym eurodeputowanym. Ostatecznie profesor filozofii, praktykujący katolik i polityk Rocco Buttiglione zrezygnował z dalszego kandydowania do *Komisji Europejskiej* i 18 listopada br. parlament w Strasburgu zatwierdził nowy skład *KE* z przewodniczącym J.M. Barroso na czele.

Dla jakich przekonań nie ma miejsca we władzach *Unii Europejskiej*? Czy obawy wzbudziło deklarowanie akceptacji dla wartości totalitarnych, komunistycznych lub nazistowskich? Nie, Laszlo Kovacs, przedstawiciel Węgier, któremu zarzucano komunistyczną przeszłość, znalazł miejsce w nowej *KE* bez większych problemów. A może włoski polityk obraził Niemców, Polaków lub Holendrów jakimś niestosownym żartem? Odrzucił lub zaatakował ważne wartości i normy *unii*? Wykazał się brakiem kompe-

tencji i przygotowania do sprawowania funkcji, którą miał objąć?

Nic podobnego. R. Buttiglione, przepytany przez europejskich parlamentarzystów, powiedział dwie ważne rzeczy: przyznał, że dla niego, jako katolika, praktykowanie homoseksualizmu jest grzechem i moralnym nieładem oraz, że korzystniej jest, gdy dzieci wychowują się w pełnych rodzinach. Sytuacje samotnych matek określił mianem trudnej i zasługującej na szacunek.

Wielu dziennikarzy, komentujących w prasie krajów członkowskich *UE* słowa Rocca Buttiglioneo wypaczało i *modyfikowało* te słowa. Roztrząsano, co powiedział, a czego nie powiedział. Zastanawiano się nad konsekwencjami jego poglądów: nad tym, jak bardzo są obraźliwe, czy nawet stanowią zagrożenie dla samotnych matek i mniejszości seksualnych. Przyznam, że nie rozumiem – przecież homoseksualiści doskonale znają stanowisko Kościoła katolickiego zarówno w sprawie homoseksualizmu, jak i w sprawie praktyk homoseksualnych. Wiedzą też, że ustawa o związkach partnerskich osób jednej płci nie jest przez Kościół katolicki uważana za dobre rozwiązanie. Zapewne dlatego tak często w organizowanych przez siebie *paradach równości* szydzą z ważnych i szanowanych przez katolików symboli i atakują je. Czy jeśli R. Buttiglione oświadczyłby w trakcie przesłuchań, że uważa kłamstwo za grzech, to czy jego słowami powinni poczuć się dotknięci wszyscy

kłamcy, a on sam także powinien stracić szansę zostania komisarzem w *UE*?

Może po prostu dożyliśmy czasów, w których demokracja liberalna odbiera katolikowi prawo do posiadania sumienia i przestaje chronić jego wolności obywatelskie. Nie rozumiem też, dlaczego wypowiedzi R. Buttiglione miałyby się poczuć dotknięte samotne matki. Czy obrażone poczuły się kobiety, które świadomie wybrały samotne macierzyństwo. No cóż, moim zdaniem matka, która świadomie i z premedytacją pozbawia swoje dziecko ojca, nie dając ani ojcu, ani dziecku prawa podjęcia decyzji w tej sprawie, niekoniecznie wykazuje szacunek dla praw i wolności innych.

Wokół wypowiedzi włoskiego filozofa zaczęła się debata przypominająca partyjne sądy z czasów PRL: co kto powiedział, co miał na myśli, jak to się ma do obowiązującej doktryny, czym grożą takie poglądy etc... Kto żył w PRL wie, co mam na myśli. Być może Europejczycy, nie mający za sobą naszych doświadczeń, nie do końca rozumieją, co dzieje się ze społeczeństwem, które ogranicza dostęp do stanowisk publicznych ludziom o poglądach odmiennych od tych *jedynie szlusznych*.

Naturalnie, przeciwnicy kandydatury włoskiego ministra odwoływali się do dobra wspólnego, tolerancji i poczucia zagrożenia, jakie w środowisku homoseksualistów wywołały poglądy R. Buttiglioneo. Czynili tak, mimo iż ten oświadczył, że poglądy owe nie będą miały wpływu na jego pracę w komisji sprawiedliwości, wolności i bezpieczeństwa i że zamierza przestrzegać praw i regulacji obowiązujących w *UE* i w pracach *KE*.

Innymi słowy, deklaracja postępowania zgodnie z regułami *unii* gry nie wystarczyła, liberalowie, socjaliści i *zieloni*, w imię wolności, tolerancji i praw mniejszości homoseksualnych, wykluczyli z grona komisarzy *UE* osobę, która publicznie deklarowała system wartości zgodny z jej katolicką wiarą. Komunikat, który dotarł do osób mających ochotę

podjąć pracę w strukturach administracji *unii* jest jasny: posiadanie i – co gorsza – głoszenie opinii zgodnych z katolicką moralnością wyklucza taką drogę zawodową. Także ci, którzy już być może dzisiaj pracują w *unii*nych biurach i urzędach, uczynią mądrze, nie ujawniając tego, co naprawdę myślą.

Dlaczego R. Buttiglione nie postąpił podobnie? Wyznał, że kierowała nim pamięć o słowach Chrystusa: *Jeśli Mnie się zaprzecze, Ja się was zaprzę*. Co więcej, uznał, że ukrywanie poglądu na praktyki homoseksualne, podobnie jak nieujawnianie przekonania, iż jego zdaniem dla dzieci korzystniejsze jest wychowywanie się w rodzinie pełnej, jest nieuczciwością wobec osób, które w trakcie przesłuchiwania kandydata chciały uzyskać jego prawdziwe odpowiedzi. Szkoda, że w środowisku europejskich parlamentarzystów nie doceniono uczciwości, odwagi i poczucia godności R. Buttiglioneo.

Przecież wielu z nas przeżywa dylematy zbliżone do tego, z którym zmierzył się włoski kandydat na komisarza. Ucząc i wykładając, przekazujemy czasami treści, poglądy i koncepcje, z któ-

rzymi się nie zgadzamy. Uczciwiej jest, gdy nasi słuchacze wiedzą, co myślimy, bowiem tylko wtedy mają szansę nie poddać się nieświadomie manipulacji, o którą znacznie łatwiej, gdy manipulowany nie zna poglądów manipulującego. Także kilka innych zawodów przeżywać może konflikt sumienia: pielęgniarki i lekarze, którzy w krajach dopuszczających aborcję bywają zmuszani do jej dokonywania. Pracownicy Urzędu Stanu Cywilnego w III RP przeczuwają, że konflikt sumienia może objąć także ich funkcję, gdy weszłaby w życie ustawa nakazująca im udzielania ślubów homoseksualistom. Opiekunki w domach dziecka mogą przeżywać dramatyczny konflikt sumienia, będąc zmuszane przepisami do organizowania adopcji dzieci przez pary homoseksualne.

W programie *Warto rozmawiać J. Pospieszalskiego*, w trakcie burzliwej dyskusji widzowie mogli na własne uszy usłyszeć, że liberalowie i lewica zgodnym chórem proponowali rozwiązanie tego dylematu drogą *likwidacji kategorii sumienia*, czyli naszej zdolności oceniania tego, co dobre i co złe oraz wprowadzenia zakazów pracy dla katolików,

żydów, muzułmanów w służbie publicznej i vegetarian w zakładach mięsnych. Okazało się, że brak chrześcijaństwa w preambule traktatu konstytucyjnego coś znaczy. Być może powstałe 6 XI 2004 r. w Mediolanie *Stowarzyszenie Wolnych (Societa dei liberi)* – które uczyniło Tomasza Morusa, patrona polityków, także swoim patronem – sprawi, że katolicy uświadomią sobie, iż to oni walczą dzisiaj w Europie o prawo do korzystania z dobrodziejstw pluralizmu i tolerancji.

Jeśli nie wiadomo o co chodzi, to... Tym razem, jak sadzę, nie o pieniądze, lecz o wyborców. Im mniej katolików pojawi się w strukturach *UE*, im rzadziej w debacie publicznej i pracy komisarzy *unii*nych pojawi się opinie zgodne z katolickim systemem wartości, tym skuteczniej będzie można przesuwać w niebyt chrześcijaństwo i bez problemów upowszechniać liberalno-lewicowo-zielony sposób widzenia świata. A wtedy zniknie elektorat głoszący na inne niż lewicowo-zielono-socjalistyczne formacje polityczne.

O to, być może, w tym wszystkim chodzi.

Barbara Fedyszak-Radziejowska

Bóg zapłać, Profesorze!

Trudno zgodzić się z myślą, iż odszedł od nas prof. Tomasz Strzembosz, jeden z tych, co to historie nie tylko wykładali na uczelni, lecz przede wszystkim pisali jej najtrudniejsze rozdziały własnym, utrudzonym życiem. Trudno zgodzić się z tym, że już nie *wpadnie* do redakcji i nie zamruga zmęczonymi oczyma spod bielutkich krzaczkastych brwi i nie powie: *Kochani, chciałem was zapytać o zdanie... To już nie powróci... Więc, przy najmiej – wspominaam...*

Rodzinę Strzemboszów znałem dawno z *wieści gminnej*. Najpierw pocztą podziemną odbierało się informacje o bohaterkiej pielęgniarce Teresie – ratującej życie rodzających się dzieci w obozach hitlerowskiej zagłady. Potem, inną pocztą – urzędową – słyszałem opowieści o Tomaszu, który (jak to

określano) *harcerstwo prowadzi na manowce...* Ale to było bardzo dawno...

Gdy wybuchła *Solidarność* i przysłała wolność, prof. Tomasz gościliśmy często w redakcji *PIP* wraz z jego synem Maciejem – znanym felietonistą i krytykiem filmowym (pisał także na łamach *PIP*). Jeszcze bardziej zbliżył Profesora do naszego środowiska fakt, że został On laureatem naszej symbolicznej nagrody *Bóg Zapłać* i wszedł do Kapituły teje nagrody. Przynosił trafione propozycje laureatów – przeważnie z grona osób najgłębiej pochylnych nad słabością i bezbronnością człowieka, którego nikt już nie chciał. Jak On ich pięknie prezentował! Znowu uczylimy się przedziwnej historii. Najprawdźwiwszej! Historii Ewangelii pisanej życiem. Tu i teraz. Na naszych oczach.

Pisanej czyniami prostymi, jak sama Ewangelia. I trudnymi, jak Ewangelia.

Drogi Panie Tomasz! Dziś widzę, iż był Pan znaczącą częścią (jeśli tak rzecz można) naszego redakcyjnego sumienia. Dzięki temu udało się ocalić od zapomnienia sporo dobrych ludzkich spraw.

Wierzmy, iż teraz już wolny jest Pan od człowieczych rozterek i historycznych wątpliwości. Teraz zna Pan całą prawdę. I wie Pan, że jesteśmy Panu wdzięczni za dar pańskiej obecności, mądrości i bezcenny dar pańskiej życzliwości oraz przyjaźni... Niech więc w sferach pozbawionych już kategorii czasu i przestrzeni dosięgnie Pana wspólnie nam bliskie pozdrowienie: **Bóg zapłać, Profesorze!**

ks. Mieczysław Gładysz CSMA

Na kolorowym plakacie tłoczą się bezgłowe postacie. Modnie ubrane ciała na wysokich obcasach i w sportowych butach. W wąskich spodniach, szortach i dżinsach. W kurtkach bluzach i swetrach. Z torebkami i teczkami, z psem i kotem. Przechodzą w pośpiechu nie zwracając uwagi na siedzącą na ulicy matę dziecko. Nagie i bezbronne. **Nie goń za marnym byciem. Pochyl się nad życiem!** – woła plakat. Projekt plakatu, autorstwa Marzeny Waluś, można było obejrzeć w **Domu Pielgrzymy Amicis** przy kościele św. Stanisława Kostki na warszawskim Żoliborzu. 23 października 2004 r. zbrali się tam laureaci konkursu o nagrodę im. ks. Jerzego Popiełuszki. Konkurs odbywał się pod hasłem **Pomóż ocalić życie bezbronnemu** i był adresowany do młodzieży szkół ponadpodstawowych. Pomimo że **Stowarzyszenie Obrońców Życia Człowieka** dość późno wystartowało z konkursem (wiosną 2004 r.) – do września nadesłano ponad 600 prac w kategoriach: literackiej, plastycznej i multimedialnej. Było więc z czego wybierać...

Pochyl się nad życiem!

Spotkanie laureatów pierwszej edycji konkursu odbywało się w wyjątkowo świątecznej atmosferze. W tym roku minęło 20 lat od męczeńskiej śmierci ks. Jerzego. Organizatorzy zbrodni nie mogli nawet przypuszczać, jakie owoce wyda niewinnie przelana krew Męczennika. Środowiska, w których pracował ks. Popiełuszko, nie rozproszyły się. Przyjaciele i współpracownicy stworzyli grupy pilnujące grobu, gromadzące pamiątki do tworzonego na bieżąco muzeum, publikujące i pielgrzymujące z przesłaniem ks. Jerzego. W ciągu 20 lat grób ks. Jerzego odwiedziło kilka milionów ludzi, w tym Ojciec Święty oraz przywódcy państw: George Bush, Margaret Thatcher i Vaclav Havel.

Przed 19 października, rocznicą porwania ks. Popiełuszki, jego grób przy kościele św. Stanisława Kostki pokryły kobierce kwiatów. Zapłonęły setki zniczy. Na parkingu pojawiły się autokary z całej Polski. Pielgrzymi modlili się o rychłą beatyfikację ks. Jerzego, przypominając jego życie i nauczanie.

Polskie Stowarzyszenie Obrońców Życia nie bez powodu obrało sobie za patrona ks. Jerzego Popiełuszkę. Przecież w trudnych latach osiemdziesiątych, gdy legalne zabiegi przerywania ciąży były powszechną praktyką, ks. Jerzy mówił: *Zadaniem Kościoła jest nie tylko teoretyczne głoszenie świętości*

życia, prawa do życia nienarodzonych, lecz także praktyczna obrona tego prawa. Istnieje pilna potrzeba konkretnych inicjatyw mających na celu udzielenie pomocy samotnym matkom, dziewczętom w ciąży, które wahają się, czy urodzić dziecko. Trzeba modlić się, żeby każde poczęte dziecko mogło być dzieckiem z radością oczekiwanym...

W czasie spotkania laureatów prezes **Stowarzyszenia Obrońców Życia** dr Antoni Zięba opowiedział, jak, modląc się przy grobie ks. Jerzego, szukał

u Niego pomocy dla nienarodzonych przed atakami aborcjonistek skupionych wokół Izabeli Jarugi-Nowackiej, pełniącej urząd **Pełnomocnika ds. Równego Statusu Kobiet i Mężczyzn**, a ostatnio pani wicepremier bez teki. Książd Jerzy nie był głuchy na te prośby, bo mimo medialnej nagonki i wielokrotnych zapowiedzi, lewicowy rząd L. Millera nie zliberalizował ustawy antyaborcyjnej. Co więcej, w sierpniu 2004 r. parlament podjął decyzję o ustanowieniu **Narodowego Dnia Życia**, który będzie obchodzony 24 marca.

Na uroczystościach w Domu Pielgrzymy pojawiły się kamery telewizyjne. Obok prezesa **Stowarzyszenia** dr. Antoniego Zięby zasiadli dostojni goście: **Rzecznik Praw Dziecka** Paweł Jaros, Ewa Tomaszewska reprezentująca **NSZZ Solidarność**. Odczytano listy od premiera i władz miasta Warszawy. Najważniejsi jednak byli laureaci – młodzi ludzie, którzy przybyli z całej Polski. To oni będą w najbliższych latach podejmowali życiowe decyzje. Już teraz mimo niewielkiego życiowego doświadczenia widzą, co jest zagrożeniem dla życia nienarodzonych. Zagoniony tłum na plakacie Marzeny Waluś walczy o kolejne dobra konsumpcyjne,



FOT. I. SIKORA

odrzucając dziecko. Socjologowie twierdzą, że to powszechne zjawisko w społeczeństwach, które się bogacą. *Czy goniąc za marnym byciem, nie stracimy tego, co najważniejsze?* – pytają młodzi autorzy.

W grupie prac plastycznych nagrodzono tkaninę Joanny Smyczek: *Chrońmy życie od poczęcia aż do śmierci*; projekt plakatu: *Pochyl się nad życiem* autorstwa Marzeny Waluś oraz pracę Agnieszki Radwan: *Maly – wielki cud*.

W kategorii literackiej pierwsze miejsce zdobyła Agnieszka Konior pracą p.t. *Ziarenko*, drugie: Beata Dudek za pracę: *Pomóż*. Trzecie miejsce: za pracę: *Dobry człowiek*, otrzymał Krzysztof Witczak.

W kategorii multimedialnej wypowiedzieli się młodzi mężczyźni. To o nich najczęściej się mówi, że żądają seksu, a potem wysyłają swoje dziewczyny do nielegalnych gabinetów ginekologicznych. Nagrodzeni: Remigiusz Sowa, Kacper Rączka, Adrian i Lukasz Kasprzak, Adam Dudek i Bartłomiej Ślipiec. Tytuły fil-

mów: *Dotyk; W obronie życia; Protest przeciw aborcji*. Dotychczas w ich imieniu mówili dorośli: seksuolodzy, psychologowie, politycy... Wciąż słyszeliśmy, że młodzi pragną seksu, więc trzeba ich uświadamiać prawie od przedszkola. Rozdawać prezerwatywy zamiast cukierków i zalegalizować przerywanie ciąży. *Nic o nas bez nas!* – mówiła kiedyś szlachta polska. Podobnie muszą krzyczeć ludzie młodzi, aktywnie włączając się w życie społeczne i polityczne. Ci, którzy mówią, że ich to nie interesuje, będą w przyszłości oplakiwać swoją bierność.

Spodziewam się, że grupa młodzieży, która odpowiedziała na apel **Polskiego Stowarzyszenia Obrońców Życia** wyrosnie na ludzi twórczych i aktywnych. Przykładem dla nich mogą być trochę starsze koleżanki i starsi koledzy z zespołu **Saruel**, którzy uświetnili imprezę pieśniami religijnymi we własnej aranżacji. Można było usłyszeć zarówno majestatyczną **Bogurodzicę**, jak muzykę religijną w stylu gospel, śpiewaną z sercem i talentem, co zostało

docenione brawami i zaproszeniem na następne podsumowanie konkursu.

W czasie spotkania w Domu Pielgrzymy **Amicis** przeważała atmosfera optymizmu, jaką zwykle niosą ze sobą ludzie młodzi. Nie można jednak zapominać o zagrożeniach. *Diabeł nie śpi* – mówi stare przysłowie. Podobnie, jak posłanki z Parlamentarnej Grupy Kobiet, które w ramach walki o przywrócenie aborcji zwróciły się do **Komisji Praw Człowieka** przy **ONZ**. Efektem tego było napomnienie Polski na forum międzynarodowym za nieprzestrzeganie prawa do aborcji. Żeby było śmieszniej na czele **Komisji Praw Człowieka** stoi obecnie Libia (!), która trudno uznać za wzór przestrzegania praw człowieka. Widać, że przeciwnicy życia nie przebiegają w środkach i przed niczym się nie cofną. Zapora dla ich działań jest modlitwa i aktywność obywatelska. Zyczymy **Polskiemu Stowarzyszeniu Obrońców Życia**, żeby przybywało mu młodych, pełnych entuzjazmu członków.

Izabela Sikora

Przewodniczący **Konferencji Episkopatu Polski** ks. abp Józef Michalik skomentował zalecenia **Komitetu Praw Człowieka Organizacji Narodów Zjednoczonych**, który uznał 5 listopada br., że w **Polsce ustawa chroniąca życie ma zbyt restrykcyjny charakter i zalecił liberalizację prawa do aborcji**. Według abp. Józefa Michalika takie zalecenie to kolejny dowód na kryzys ONZ.

ONZ zaleca Polakom zabijać dzieci!

– Zalecenie **Komitetu Praw Człowieka ONZ** jest wstydliwym przykładem hańbiącym historię myśli ludzkiej. Trzeba jasno powiedzieć, że w tym wypadku mamy obowiązek bronić poczęte życie – podkreślił abp Józef Michalik.

– Jest to zdumiewające zaciemnienie sumień i umysłów. Gdy wymiera Europa i cywilizowany świat, **ONZ** powinna raczej ogłosić jakiś apel o pomoc matkom mającym dzieci czy oczekującym na kolejne. To był-

by niewątpliwie postęp w cywilizacji i humanizacji świata. Tymczasem **ONZ** promuje prawo do zabijania nienarodzonych. To kolejny dowód kryzysu tej organizacji – uważa przewodniczący **KEP**.

– Widać, że musimy być czujni, że wciąż powinniśmy pogłębiać wiedzę na temat życia, od chwili poczęcia.

Ważne jest także budzenie sumień, bo nienarodzeni to ludzie najmłodszy, całkowicie zdani na pomoc i opiekę innych...

Będą nowe okazje do konfrontacji między koncepcją życia i śmierci, koncepcją wolności do wyboru dobra i do wyboru działania upodlających człowieka. Dlatego nie wolno nam stać z boku i przyglądać się bezczynnie. Być może będziemy musieli jeszcze bardziej doskonalić prawo, aby chronić życie – stwierdził abp Józef Michalik 9 listopada 2004 roku.

Tekst wypowiedzi abpa Józefa Michalika za **KAI**, Warszawa

Bóg jest władcą czasu. Jego są dzieje. Jego jest teraźniejszość. Jego jest przyszłość. Mówimy często: *Panem naszym jest Bóg* – Ten, który objawił się w Jezusie Chrystusie. Do Niego należy przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Jego jest *czworać i dzisiaj, i jutro*. I obojętnie, jak ludzie nazwą okres przeżywanego, ten okres zawsze jest Boży. Nie ma takiego czasu, w którym Bóg nie byłby Panem tego czasu. Ludzie również określają czasy. Jesteśmy dzisiaj w czasie, który określono: *stanem wojennym*.

586 nocy

Tymi słowy ks. prymas abp Józef Glemp rozpoczął kazanie skierowane do młodzieży akademickiej zgromadzonej rankiem, w niedzielę 13 grudnia 1981 r. na Ogólnopolskiej Pielgrzymce Akademickiej. Można o tych pamiątkach – dzisiaj będących w sile wieku – powiedzieć: *szczęśliwi*. Nowy polski dramat zastał ich na Jasnej Górze, doskonale więc mogli doświadczyć wyjątkowości tego miejsca, gdy nad Ojczyznę gasło światło.

Oczywiście, w jasnogórskiej kaplicy nie mogło zabraknąć zaufanych władzy ludowej, tym bardziej że był tam Prymas Polski, a pielgrzymki również były obiektem zainteresowań SB i, paradoksalnie, dzięki obecności funkcjonariusza lub tajnego współpracownika wiadomo, czego i kogo ta władza w dniu swego tryumfu szczególnie się lękała...

Odbierający dzień i noc napływające informacje z całego kraju funkcjonariusze **Centrali Ministerstwa Spraw Wewnętrznych**, w tajnym meldunku nr 4 (z godz. 11.00), krótko i węzłowo raportowali do ścisłego kierownictwa resortu oraz upoważnionych dygnitarzy partyjnych ten historyczny moment (pisownię zachowano): *W kazaniu utrzymanym w spokojnym tonie, abp powiedział m.in.: – zaskoczyło mnie tak szybko wprowadzenie stanu wojennego; – społeczeństwo polskie jest przyzwyczajone do takich sytuacji, ponieważ każde pokolenie w tym kraju przeżywało kiedyś stan wojenny; – obowiązkiem chrześcijanina jest zachowanie spokoju i opanowanie namiętności, gdyż walenie głową w mur nie da, a przecięt głowa służy do czego innego; – obecna sytuacja nie jest walką z Solidarnością, ale walką dobrą ze złem; – nieoprowadzenie namiętności może spowodować rozlew krwi, a tego należy stanowczo unikać. Na zakończenie swego*

wystąpienia arcbp Glemp zainicjował modły o zachowanie spokoju...

Częstochowa, podobnie jak i cała Polska, została sterroryzowana przez władze państwowe, **MSW i Ludowe Wojsko Polskie**: od początku wprowadzenia *stanu wojennego* tylko w tym mieście zatrzymano 56 osób na planowane 94 osoby. Przygotowano zasadzki na 10 osób. Wyjechało w nieznanym kierunku – 6 osób, 4 osoby zmieniły adresy. Nie ujęto – 18 osób (stan na godz. 11.00); do godz. 15.00 władzom nie udało się zatrzymać ukrywających się 38 osób. Na terenie całej Polski, od godzin nocnych 12 grudnia do godz. 15.00 dnia następnego, zatrzymano 3175 osób na 4475 planowanych. Eufemizmem *planowane zatrzymania* oznaczał realizację tej części planu *stanu wojennego*, która – opatrzona kryptonimem *Jodła* – dotyczyła internowania wytypowanych działaczy *Solidarności* i innych wrogich *Polisce Ludowej* ugrupowań.

Stan wojenny zawieszono 31 grudnia 1982 r., a zniesiono 22 lipca 1983 r. Trwał on więc 586 nocy i dni. Nie ma dokładnych danych co do cierpień, których doświadczyli Polacy. Niejednokrotnie osoby ranne w zamieszkach, w obawie przed ujęciem, nie zgłaszały się do szpitala.

Nie mniej okrutne od cierpień fizycznych i strachu o siebie i innych było łamanie sumień Polaków. W zamian za pracę nakazywano podpisywanie oświadczeń o lojalności (nb. to nie jest to samo, co zgoda na tajną współpracę). W zamian za zaniechanie represji – emigracja (w latach osiemdziesiątych Polse opuściło 700 tys. osób!). Właśnie w obronie sumień Ojciec Święty Jan Paweł II wołał 10 stycznia 1982 r.: *Lamać jest najbardziej podstawowe prawo człowieka: prawo wolności sumienia. Pod zagrożeniem utraty pracy ludzie bywają zmuszani do podpisywania oświadczeń, które są niezgodne z ich sumieniem, z ich przekonaniem. Lama-*

nie sumień jest straszną krzywdą wyrządzoną człowiekowi. Jest najboleśniejszym uderzeniem w ludzką godność. Jest poniekąd gorsze od zadawania śmierci fizycznej, od zabijania: nie bójcie się tych, którzy zabijają ciało (Mt 10, 28), mówił Chrystus, wskazując, o ile większym złem jest zabijanie ludzkiego ducha, ludzkiego sumienia. Podnoszę głos do Boga – wraz z wszystkimi ludźmi dobrej woli – aby nie zabijano polskich sumień! Po latach nie sposób oprzeć się wrażeniu, że władzy Polski Ludowej właśnie o to chodziło! Jeśli biologicznie nie dało się Polski wyniszczyć, to należało zabić sumienie...

Na wspomnianej krajowej odprawie kierowniczej aktywu **MSW** 7.06.1982 r. Minister Kiszczaak, podsumowując wyniki pracy operacyjnej **SB** ostatniego półrocza, w tym pozyskiwania do tajnej współpracy, mówił: – *Straty operacyjne z lat 1980 – 1981 są w warunkach stanu wojennego systematycznie odrabiane – o czym świadczy fakt, że w I kwartale br. w stosunku do IV kwartału roku ubiegłego liczba pozyskań wzrosła o 10 procent.*

Z kolei ilustracją obaw prawych ludzi o los Narodu, w obowiązującym jeszcze *stanie wojennym*, niech będzie zapis z notatki służbowej dotyczący wystroju Grobu Pańskiego w kościele oo. jezuitów pw. Matki Bożej Łaskawej w Warszawie: – *Na dekoracji przedstawiono stylizowaną wronę. Poniżej różne paczki symbolizujące prezenty, na których były napisy: kredyt, domek, willa, dacia, paszport, itp. Pod tym napis o treści: Dam ci to wszystko, jeśli oddasz mi pokłon. Odwiedzając ten grób negatywnie wypowiadali się nt. tej dekoracji – napisał NN funkcjonariusz SB w kwietniu 1983 roku.*

Prawda jest taka, że jedną z najcenniejszych zdobyczy *Sierpnia 1980 r.* była i pozostaje niezłomna transmisja Mszy św., natomiast jednym z orderów, jakimi był udekorowany gen. Wojciech Jaruzeński jest Order Lenina – najwyższe radzieckie odznaczenie, nadane mu w 1983 roku. Nie dziwnego, wszak *Obwieszczenie o wprowadzeniu stanu wojennego* drukowano na Łubiance, tej samej, w której w lipcu 1944 r. drukowano *Manifest PKWN*.

Grzegorz Karbowski

III Rzeczpospolita nie dokonała rozliczenia z komunizmem i uczyniła też bardzo niewiele dla przezwyciężenia komunistycznej przeszłości. Stwierdzenie to wydaje się oczywistością, ale oczywistością już nie jest konstatacja, że wiele z trapiących nas obecnie problemów, między innymi tak podstawowe, jak: bardzo słaba kondycja demokracji, ogólne zniechęcenia i rozczarowanie społeczeństwa do własnego niepodległego państwa, korupcja, cynizm, moralny relatywizm i egoizm jako dominujące wzory postępowania, zwłaszcza wśród ludzi młodych, mają u swoich podstaw niedokonywany rozrachunek z przeszłością.

Bitwa o IPN

Poważniejsze próby rozliczenia ponurej przeszłości na ogół kończyły się niepowodzeniem – właśnie kończy się, i tak bardzo już dychawiczna, lustracja, a mianowicie **Rzecznikiem Interesu Publicznego**, znanego jej przeciwnika, p. Olszewskiego jest – w moim przekonaniu – tego dobitnym potwierdzeniem. Jedną z ostatnich instytucji powołanych dla przezwyciężenia komunistycznego dziedzictwa jest **Instytut Pamięci Narodowej**, i właśnie od pewnego czasu trwa w środkach przekazu dyskusja, która wywołana została artykułem profesora Andrzeja Romanowskiego (*IPN – bezprawie i absurd*, *Gazeta Wyborcza*, 25-26.09.2004 r.), który jest nie tylko brutalnym atakiem na **Instytut Pamięci Narodowej**, lecz także wezwaniem do jego likwidacji.

W największym skrócie argumenty przeciwko **IPN** to: niedopuszczanie agentów i funkcjonariuszy **UB** i **SB** do archiwów, co tworzy z nich obywateli drugiej kategorii, wrzucanie do jednego worka współpracowników policji politycznej **PRL** i ludzi, którzy wprowadzili nie działali w opozycji, ale nie byli agentami, gdyż jedni i drudzy nie mają statusu pokrzywdzonego w rozumieniu ustawy, zagrożenie dla wolności obywatelskich poprzez ustawowy zakaz rozpowszechniania kłamstw na temat nazizmu i komunizmu, stworzenie zagrożenia dla zasobów archiwalnych, zła polityka wyznaczona, w efekcie której publikacje **IPN** są tendencyjne, bezwartościowe, natrętne itp. *Zarzuty* te wielokrotnie były powtarzane w prasie, a także w programach telewizyjnych, w których prof. Romanowski ujawnił duży stopień złości, tendencyjności, demagogii w dys-

kusji o **IPN**, przede wszystkim zaś jakiejś osobistej zajadłej nienawiści do **IPN** i niektórych uczestników dyskusji, zwłaszcza do zaangażowanego w zwalczaniu kłamstwa w pewnych obszarach życia publicznego Bronisława Wildsteina. Domagając się likwidacji **IPN**, Andrzej Romanowski był uprzejmy napisać: *Zapanował typowo polski terrorizm nierozumu – daliśmy sobie coś mówić, w imię szlachetnej idei rozrachunku z komunizmem zaakceptowaliśmy filozofię pogardy wobec prawa i praworządności, zgodziliśmy się na obywatelską nierówność, udzieliśmy przyzwolenia dla rujnowania zasobów archiwalnych i dla historiografii tendencyjnej...* (*GW*, 25-26.09.2004 r.).

Odpowiadając, stwierdzam, że dopuszczenie tajnych współpracowników **SB** i *esbeków* do archiwów to tyle, co dopuszczenie przestępcy do materiałów policji i akt prokuratury. Zakaz rozpowszechniania kłamstw na temat zbrodni hitlerizmu i komunizmu służy obronie demokracji przed recydywą tych totalitaryzmów, nieprzyznanie statusu pokrzywdzonego komuś, kto nie działał w podziemiu, bo był np. za młody lub w ogóle nie zajmował się działalnością polityczną, jest oczywistością, dzięki **IPN** archiwa są właśnie lepiej zabezpieczone, znajdują się w jednym miejscu, a nie w wielu miejscach, jak to dotychczas było. Działalność wydawnicza **Instytutu** jest powodem do dumy, stając się niezwykle cenne wypełnienie tzw. białych plam w najnowszej historii. Potwarzam, to nie jest spokojna dyskusja o funkcjonowaniu jednej z wielu instytucji III RP, lecz żarliwy manifest prze-

ciwników **IPN** na rzecz jego likwidacji. Likwidacja oznaczałaby zakończenie jedyne odbywającego się obecnie faktycznego rozliczenia komunizmu. Pozostałby tylko mętna utopia, według której nie jest pewne, a zwłaszcza to, kto był donosicielem?

Okupacja hitlerowska została rozliczona znacznie. Niemiecy zbrodniarze zostali ukarani odpowiednio do swoich zbrodni. Dziś większość z nich już chyba nie żyje. Ci, którzy żyją są zdemencjalnymi starcami. Problem dotyczy więc tylko komunizmu. Nie chodzi tylko o rozliczenie przeszłości i ukaranie przestępców, co jest możliwe przede wszystkim dzięki zaangażowaniu i wiedzy prokuratorów **IPN**.

Instytut jest jednym z nielicznych miejsc, państwowym urzędem, gdzie przynajmniej w jakimś stopniu mogą otrzymać satysfakcję i odebrać sprawiedliwość, gdzie są u siebie, wśród ludzi życzliwych i nastawionych na niesienie pomocy, ludzie krzywdzeni przez komunistów, więzieni, szikanowani, w różny sposób prześladowani w bardzo długim, ponurym okresie naszej historii znanym jako Polska Ludowa. To być może najważniejsza rola **IPN**, jeśli programową ideą III RP nie ma być hasło Ludwika Filipa – *bogaćcie się!*

Gdy coraz bardziej przekonujemy się o gigantycznych fortunach, aferach i interesach przeróżnych agentów, byłych sekretarzy i aparatchuków **PZPR**, do których w znacznym stopniu należy III RP, tak jak przedtem należała **PRL**, a gdy ludzie walczą o wolność i niepodległość często w biedzie, nędzy i zapomnieniu dożywają swoich dni, ten **Instytut** jest miejscem, w którym pokrzywdzeni mogą przynajmniej dowiedzieć się, komu zawdzięczają jakąś część swoich krzywd. To jedno z nielicznych miejsc, gdzie nie wypuszcza się *esbeków* i donosicieli tak chętnie witanych w różnych salonach, partiach politycznych, ośrodkach władzy, środkach przekazu, gdzie pokrzywdzony przez komunistów widzi, że jego walka i praca nie poszły na marne, a Polska o niego, chociaż tylko w tej formie, ale się opamięta.

Stefan Niesiołowski

Nowe widmo krąży po Europie. Już nie ideologiczne i zbiorowe, a, by tak rzec, jednoosobowe. Strach padł na Europę, a ściślej, na Unię Europejską, czy jeszcze ściślej, na władze Unii – na Komisję Europejską, i to z powodu jednego człowieka. Kim jest ów mocarz? Czy to terrorysta, supergangster, genialny korupcjoniści lub szantażysta. Nie, to Rocco Buttiglione, włoski intelektualista, który kandydując na komisarza w komisji sprawiedliwości UE, wypowiedział parę krytycznych zdań o homoseksualizmie i emancypacji kobiet, zafalszowanych zresztą zaraz przez polityków i media. Od tego miały zatrzęść się podstawy UE. Nie było końca protestom, świętemu oburzeniu, zdumieniu tak niesłychanym skandalem, wyrażanym w niezliczonych głosach liberalnej lewicy europejskiej.

Postrach Europy

Kim jest naprawdę ten śmiałek, który poruszył opinię przyzwyczajoną raczej do lewicowych i liberalnych prowokacji i skandali? Filozof i prawnik, profesor filozofii na Uniwersytecie Laterańskim i w Międzynarodowej Akademii Filozoficznej w Lichtensteinie, członek Papieskiej Komisji *Iustitia et Pax* i Papieskiej Akademii Nauk Społecznych. Zajmuje się dziejami, kulturą i ideami Europy, antropologią filozoficzną, zagadnieniami etyki i polityki, jest znawcą myśli Jana Pawła II. Jest autorem książek dostępnych także po polsku: *Europa jako pojęcie filozoficzne, Etyka w kryzysie, Chrześcijaństwo i demokracja*, a także *Myśl Karola Wojtyły*. Książki te należałyby poleciać w pierwszym rządzie właśnie parlamentarzystom europejskim (zwłaszcza przed przyjęciem konstytucji UE), choć może, gdyby je znali, podniósłby się jeszcze większy protest.

Cóż powiada Buttiglione? Przede wszystkim to, że Europa w swych dziejach, myśli i kulturze nie da się oddzielić od chrześcijaństwa. Nie można sobie wyobrazić czy pomyśleć jednego bez drugiego. Nie można nawet sobie wyimagować i politycznie, prawnie ustanawiać, że od dzisiaj będzie jakaś inna, nowa Europa, czego właśnie UE próbuje obecnie dokonać. Dlatego – pisze Buttiglione zupełnie wyraźnie już w 1990 r. – *stajemy dzisiaj przed alternatywą: albo odzyskamy chrześcijańskie korzenie Europy, albo będziemy świadkami jej rozkładu w kulturowym relatywizmie, dodając także, że ostatnim etapem naszej*

historii może być tylko nihilizm...

Chrześcijaństwo i Kościół stały się fundamentem zarówno najszerszej rozumianego prawa, prawa naturalnego, ugruntowanego religijnie w rzeczywistości nadprzyrodzonej, które to prawo było do niedawna podstawą prawa stanowionego, jak i państwa rozumianego jako organizacja porządku społecznego opartego również na fundamencie wspólnoty narodowej, rodziny i osoby ludzkiej. Chrześcijaństwo daje zatem podstawy teologiczne i antropologiczne w Europie i całemu zachodniemu rozumieniu człowieczeństwa. Bez nich nie można by nawet mówić o dżiesięjszych prawach człowieka, poczuciu godności ludzkiej, a także wolności i demokracji.

W swych książkach Buttiglione spisał mimowolnie projekt własnej preambuły do właściwej konstytucji europejskiej. Nie mógł się spodziewać, jak będzie ona potrzebna, gdy Europa zapomni lub zaprze się samej siebie: – *Nie uratuje się europejskiego dziedzictwa, gdyby miało się okazać, że nie da się na nowo uczynić z chrześcijaństwa żywego doświadczenia. (...) Wielu wartości, które wydają się nam oczywiste i które przywykliśmy się uznawać za naturalne, nie da się oddzielić od kultury chrześcijańskiej. W tym sensie wszyscy jesteśmy chrześcijanami, również ci, którzy nie przyznają się do żadnej religii. Chrześcijaństwo jako forma kultury jest wspólnym tem wszystkich naszych filozofii i sposobów życia – mówi Buttiglione już w 1990 roku.*

Dla nas niezwykle ważne jest także jego zainteresowanie sprawami polskimi. Jest on jednym z tych nielicznych na Zachodzie cudzoziemców, którzy dobrze rozpoznali odrębność Polski, jej dzieje i kulturę, studiując zresztą myśl i nauczanie Jana Pawła II. W obszernym szkicu *Suwerenność narodu przez kulturę* poświęconym tematyce polskiej pisał: – *Niegdyś polska wyjątkowość mogła być oceniana negatywnie. Państwo utożsamiało się z nowoczesnością, z postępem, z dobrem. Dziś mamy inne kryteria oceny i inny horyzont historyczny. Zasada suwerenności państwa zrodziła epokę imperializmów, które doprowadziły do dwóch wojen światowych. (...) W tym kontekście doświadczenie polskie, które kiedyś mogło wydawać się marginesowe i przestarzałe, nabiera nowej wymowy, co więcej, staje się punktem odniesienia. (...) Można by wręcz powiedzieć, że dzieje Polski są gąłątką wyrastającą z korzenia obumierającego, w pewnym sensie, pnia Europy. Model polski każe krytycznie spojrzeć na utrwalone relacje w schemacie państwo – Kościół i kultura – polityka. Według tego modelu hierarchicznie najwyższą znajduje się Kościół i kultura. To stwierdzenia rzeczywiście rewolucyjne i skandaliczne dla Unii Europejskiej.*

Krytyczną diagnozę stanu Europy sformułowaną przez Buttiglione potwierdza jego osobisty przypadek w *unijnych* wyborach. *Skandal* Buttiglione objawił przynajmniej dwie negatywne strony obecnej polityki *unijnej*: hipokryzję decydentów *unijnych*, głoszących przeciw, wszem i wobec, nadrzędność zasad pluralizmu i demokracji, a faktycznie praktykujących wykluczenie przedstawiciela nie jakiejś mniejszości za wyznawane poglądy (a nie za czyny i działanie publiczne) oraz brak poszanowania dla inności, czyli pominięcie najwyższego standardu, jakim ma być dla *Unii* tolerancja, tolerancja wobec tych, którzy, bądź co bądź, chcą reprezentować tradycję Europy. Ta demonstracja polityki *UE* nie może dobrze wróżyć Europie na przyszłość.

Marek Klecel

ŚLADAMI KSIĘDZA BRONISŁAWA MARKIEWICZA

– *To, że o beatyfikację ks. Bronisława Markiewicza modliłam się, odkąd tylko pamiętam, zawdzięczać mojej ukochanej babci. Jako dziecko oczywiście nie zdawałam sobie w pełni sprawy z tego, jak wielka to i dla naszego regionu, i dla Polski, i wreszcie dla Kościoła Powszechnego postać – z autentyczną atencją w głosie i dla babci, która wprowadzała ją w świat wiary, i dla mającego być wyniesionym na ołtarze Założyciela michalitów i michalitek wierzą się, ucząca religii w gimnazjum w Pruchniku, pani Agnieszka Błachuta. – Rozpoznanie zasług Sługi Bożego przyszło z wiekiem. Dzisiaj po prostu jestem dumna z faktu, że ja, moja rodzina i – oddane mojej pedagogicznej pieczy – dzieci chodzimy po tych samych ulicach, co największy nasz Kraj...*

Te same ulice w Pruchniku

Za oknami pruchnickiej parafii zapada wczesny listopadowy zmrok. Wypiętrzanie, na którym usytuowana jest ta jedna z najstarszych we wschodniej Małopolsce świątyni, nosząca wezwanie św. Mikołaja Biskupa, za chwilę spowijają jesienne mgły. (Najstarszym dotychczas znanym śladem istnienia parafii rzymsko-katolickiej w Pruchniku była data erekcji Kościoła w Kosieniach [w roku 1399], gdy wśród świadków występował pleban pruchnicki.) W dole miasteczko, które, co prawda, lata swojej największej świetności ma za sobą, ale pomimo znanych, jak Polska długa i szeroka, problemów związanych z dwucyfrowym bezrobociem, imponuje schludnością. Oświetlone i dobrze utrzymane drogi i chodniki, przydomowe ogródki, którymi zachwyca się coraz częściej zagląający tu, zmęczeni miejskim gwarem turyści i wycieczkowicze. Szczególną atrakcją stanowią szeregi zabytkowych drewnianych domostw, które, poddawane od lat zabiegom konserwatorskim, uciechają oko nawet najbardziej wybrednego miłośnika architektury.

To właśnie w jednym z takich budynków – dzisiaj, niestety, już nie istniejącym – przyszedł na świat 13 lipca 1842 r., w rodzinie Jana Markiewicza i Marianny z Gryzieckich (jako szóste ich dziecko) Bronisław. W cztery dni później chłopiec został ochrzczony przez wikariusza miejscowej parafii ks. Jakuba Dziedzica, otrzymując na drugie imię Bonawentura. Kaligraficznie wyczelony wpis w księdze metrykalnej pokazuje z dumą i wzruszeniem obecny rządca parafii św. Mikołaja ks. pro-

boszcz Kazimierz Trełka. Duszpasterzuje tutaj od roku 1989 i za ogromny honor poczytuje sobie fakt, iż może to czytać w miejscu jemu osobiście bardzo drogim. – *Po raz pierwszy zetknąłem się z postacią ks. Markiewicza podczas studiów seminaryjnych, rozpoczętych w Przemysłu w roku 1963. W jednej z auli wisiał, tak zresztą jak i dzisiaj wisi, Jego portret, tak więc czy chciałem, czy też nie, codziennie patrowałem mi Jego ciepły i wyrozumiały wzrok. Za interesowanie działalnością Sługi Bożego wzmogli we mnie też kursowi kole-dzy, należący do michalickiego zgromadzenia, którzy w rozmowach rozpamiętywali Jego pracę i zasługi...*

Zanim jednak można było o tychże mówić, Twórcza zakładów wychowawczych dla osieroconej lub zagrożonej demoralizacją młodzieży, niejako na własnej skórze doświadczył tego wszystkiego, co zwykło się określać *galicyjską biedą*. W rodzinnym domu warunki życia były bardzo skromne. Celnie charakteryzuje je Mieczysław Stachura na kartach biografii *Wszedł między lud: Aby wyżynieć (...)* liczną rodzinę, Jan Markiewicz miał się różnych zająć. Przez dwa lata trudnił

się rzeźnictwem, potem kilkanaście lat wyprawiał słoń dla browaru, następnie był dzierżawcą podatków od mięsa i tytoniu, wreszcie od hrabiny Morskiej wydzierżawił proponację klucza zarzeckiego wraz z browarem i gorzelnią. W rezultacie rozgrabienia majątku Morskich w czasie powstania chłopskiego w 1846 r. stracił zarobek. Zajął się więc handlem zbożem i owocami, z którymi w roku 1854 zapędził się na galerach aż do Warszawy, wyruszywszy z Jarosławia Sanem. W Warszawie mieszkał sześć tygodni. Ciężką pracą dorobił się 8 morgów ziemi...

Dzięki pracowitości i oddaniu najbliższym rodzina Markiewiczów osiągnęła jednak coś, co dzisiaj określić można jako rodzinny sukces. Dziesięcioro z rodzeństwa (dwie siostry – Celestyna i Domicela zmarły, nie doczekawszy pełnoletności) pracowało naukowo, w administracji albo też, jak pozostałe siostry, cieszyło się udanym ży-



Dr. G. Garbaczka

ŚLADAMI KSIĘDZA BRONISŁAWA MARKIEWICZA

ciem rodzinnym. – Z czterech braci Bronisława – jak pisze cytowany już Mieczysław Stachura – Michał, autor trzynomowego podręcznika historii, był cenionym wykładowcą w kolegium jezuitów w Chyrowie; Władysław – doktor prawa, popularny adwokat krakowski i referent opieki społecznej – był prezesem Arcybractwa Miłosierdzia, Banku Pobożnego im. Piotra Skargi i Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. (...) Stanisław – radny miasta Lwowa, jako kupiec i prezes Stowarzyszenia Młodzieży Handlowej i Rzemieślniczej opiekował się młodzieżą cechową, zakładając dla niej bursę kupiecką; najmłodszy – Dominik, uzdolniony prawnik, pomagał ubogim w Heidelbergu i Krakowie (...). Pozostałe siostry, podobnie jak matka, wychowywały liczne potomstwo w duchu pobożności i wrażliwości na ludzką biedę...



modlitwy i nazywałem Cię Ojcem: *Ojciec nasz, który jesteś w niebie...* Dziś ludzie uczeni mówią mi, że Boga nie ma, a prawdy religijne nie są zgodne z rozumem. Ja bym jednak nie chciał w tak ważnej sprawie pobydlić, nie chciałbym Ci odmówić należnej chwały i posłuszeństwa. Jeżeli rzeczywiście jesteś i rządysz niebem i ziemią, daj mi łaskę, abym Cię poznał i ukochał całym sercem... Bóg dobry wysłuchał mnie. Już na drugi dzień odprawilem spowiedź z całego życia i odtąd nie miałem już nigdy wątpliwości co do wiary...

To, niezwykłe swą głębią i fascynującą prostotą, świadectwo znane jest i na pewno nie raz było omawiane przez działającą przy pruchnickiej świątyni **Modlitewną Grupę im. Księdza Bronisława Markiewicza**.

Powstała ona przed dwunastu laty z inicjatywy pracujących przy parafii siostr michalitek. – Jak doszło do jej sformowania? Calkiem spontanicznie – mówi z uśmiechem jej animatorka pani Elżbieta Szewc. – Siostra Anna Fesiak CSSMA kiedyś spotkała mnie i powiedziała: – Weź różaniec i przyjdź do ochronki... I od tej pory wspólnie się modlimy. I jest nas coraz więcej!

Poza cotygodniowymi liturgicznymi spotkaniami grupa organizuje też prace formacyjne, w tym i trzeźwościowe, bowiem, niestety, problem uzależnień wciąż jest ogromnym wyzwaniem. Grupa wzięła też pod swoje skrzydła znajdujący się na pruchnickim cmentarzu grób matki ks. Markiewicza – Marianny. – Przez Matkę trafić do Syna – poucza Chrystus. Przez pamięć o matce Sługi Bożego wierzę, że docieramy z modlitwą do samego ks. Markiewicza, a przez Niego – do Boga – refleksyjnie kończy pani Elżbieta.

Do Pruchnika ks. Bronisław Markiewicz wracał już sporadycznie. Drogi

ŚLADAMI KSIĘDZA BRONISŁAWA MARKIEWICZA

Opatrności zawiodły go do Seminarium Duchownego w Przemyślu, a stamtąd na kolejne placówki duszpasterskie – do Harty, Gaci, Błażowej. Pełnił posługę w zgromadzeniu salezjańskim w Turynie, aż wreszcie trafił do Miejsca Piastowego, gdzie skryształizował swe pragnienia założenia zakładu opiekuńczo-wychowawczego.

– Dzisiaj nie ma w naszym mieście nikogo, kto osobiście spotkałby się ze Sługą Bożym – mówi ks. Kazimierz Trełka. – Ja miałem ten zaszczyt, iż kiedyś spotkałem panią Kalinowską. (Notabene, osoba spokrewniona ze św. Rafałem Kalinowskim.) Ksiądz Bronisław ją znał, a ona z nim rozmawiała. Było to na krótko przed Jego śmiercią 29 stycznia 1912 roku. Pani Kalinowska miała wtedy dziesięć lat...

Pragnąc, żeby wspomnienie o Zaloczyteli Zgromadzeń Św. Michała Archaniola trwało w Pruchniku, ksiądz proboszcz zorganizował izbę pamięci mieszczącą się w parafialnym muzeum. – Niestety, nie mamy tam rzeczy należących do Kandydata na ołtarze. Udało się jedynie zgromadzić eksponaty oddające klimat epoki. Z naszej inicjatywy główna ulica miasta również nosi Jego imię, a nie jak dotychczas – Świerczewskiego, zaś zorganizowane, co roku w kwietniu, przez parafię, Gimnazjum Publiczne w Pruchniku i Urząd Gminy, memoriały biegów przełajowych przypominają najmłodszym o tym wielkim Dobrodzieju i Wychowawcy ubogiej młodzieży.

– Sama jestem pedagogiem – dzieli się refleksjami pani Aleksandra Wdowik, dyrektor szkoły i nauczycielka matematyki w pobliskiej Rożwiennicy oraz szefowa **Akcji Katolickiej** w Pruchniku. – Fascynacja osobą ks. Markiewicza i podziw dla tej postaci to chyba zbyt mało. Jesteśmy winni Mu wdzięczność, którą trudno opisać słowami. Za całe Jego życie i za wszelkie Jego dokonania, za to, że był wzorem i ucieleśnieniem wszelkich ewangelicznych cnót, za Jego prostotę, cichość i pokorę. Jaka to radość, że Bóg ra-

czył sprawić, że nasze miasteczko było miejscem Jego urodzenia!

Szosa na Jarosław wije się znaczną odświeżającymi światłkami przydrożnych słupków, które współgrają z płomieniami zniczy ustawionych przy obeliskach upamiętniających wielowiekowe zmagania o wolność naszych rodaków. Jest noc 11 listopada – Święto Niepodległości. Niepodległości: i tej z roku 1918,

i tej obecnej – wywalczonej również dzięki ks. Bronisławowi Markiewiczowi, który wychowując pokolenia naszych rodaków, nauczał zawsze, by *Polskę, z jej dziedzictwem historii i kultury, stawiać zawsze tuż po Bogu samym!*

Czyż nie zasługuje na to, abyśmy obrali Go patronem polskich wychowawców i nauczycieli?

**ks. Sylwester Łącki CSMA
Paweł Smogorzewski**



PRZEZ ŻYCIE Z ANIOŁEM

Zapewne nie wszyscy znają Dobczyce. Spieszę zatem donieść, że zabytkowy kościół znajduje się na zalesionym wznesieniu za miasteczkiem. W pobliżu nie ma domostw. Po zbudowaniu nowego kościoła parafialnego stary poszedł w zapomnienie. Długo nie odbywały się w nim żadne nabożeństwa i piękna niegdyś świątynia zaczęła szybko niszczeć. Gdyby nie ksiądz Michał byłaby dziś romantyczną ruiną. Dziurawy dach wymieniono w ostatnim momencie, następnie wymalowano ściany, dokonano konserwacji wszystkich ołtarzy, ambony, w końcu przyszedł czas na organy.

Albert organista

Alberta Kunza poznałem w przejściu podziemnym pod krakowskim dworcem. Jeżeli dobrze pamiętam, było to w grudniu Roku Pańskiego 1983. Pracował wówczas w Filharmonii i konieczność permanentnego obcowania z muzyką wysoką zmuszała go do szukania wytchnienia w okolicach wspomnianego przejścia. To właśnie tam wybrała sobie siedzibę, być może ze względu na ogromny tłum, Orkiestra Pana Słoneczko – jeden z nielicznych radosnych promyków w ponurych czasach stanu wojennego. Ta jednoosobowa orkiestra rozlokowała się na dźwięcznym trójkątowym wehikule z grubszą podobnym do rikszy. Wyposażony w elektroniczne organy Hammonda oraz baterię instrumentów perkusyjnych pojazd wzbudzał nieklamany podziw przechodniów. Na dodatkowych pionowych wspornikach przymocowano trąbki, dzwonki, łańcuchy, kowadłka i inne przeszkadzajki, na których w zależności od potrzeb i natchnienia grał muzyk. Pan Słoneczko siedział ponad tym instrumentarium niczym mag, niczym dobry czarodziej, zawsze w błazeńskich okularach, zawsze wystrzyżony na jeża, zawsze szeroko uśmiechnięty. Na przykład smętnemu reżimowi generała Jaruzelskiego grał oraz śpiewał zachodnie przeboje muzyki pop, przedwojenne szlagiery i lwowskie szmoncesy.

– To prawdziwy muzyk! To muzyk z powołania – zachwylił się Albert. – Proszę zauważyć, że granie sprawia mi autentyczną przyjemność. Nie to, co naszym skrzypkom w Filharmonii...

– Może i gra z potrzeby serca, ale to przecież straszna chaltura – wypaliłem niepotrzebnie.

– Chala?! – zdenerwował się Albert i zaczął mną potrząsać niczym sparciałym workiem. – Chalturę to ja odstawię za dwa tygodnie. Mam zagrać na pasterce! Oczywiście, o ile wcześniej wyszykuje instrument w kościele dobzyckim, nad zalewem...

Okazało się, że wspomniany kościół od lat jest oczkiem w głowie dobzyckiego proboszcza, księdza dziekana Michała. Postanowił on uroczystie otworzyć podwoje kościoła, który wiele lat był w remoncie, a pasterka i święto odnowione organy miały stanowić godną oprawę dla tego wydarzenia. Oprócz miejscowego ludu zaprosił Biskupa tarnowskiego, kierownika Katedry Muzyki Kościelnej, świtę z Papieskiej Akademii Teologicznej i śmietankę świata organowego.

– Cokolwiek zagram, będzie źle! Jakkolwiek zagram, będzie źle! – jęczał nieszczęsny wirtuoz.

– Myślę, że to asekuracja – próbowałem go pocieszyć – albo zwykła trema. Zapewne wszystko będzie dobrze! Skoro jednak masz wątpliwości, możesz przecież zrezygnować...

– W tym problem! Nie mogę się wycofać. Tak w ogóle to miał grać ktoś inny i jestem niejako w zastępstwie. Zabrąłem za daleko i to jest najgorsze – westchnął Albert i posłaliśmy na podwójnego portera.

Po dwóch tygodniach wirtuoz zakolał do sążnistych drzwi plebanii

w Dobzycach. Z miną męczennika odebrał klucz do kościoła nad zalewem i instrukcje dotyczące repertuaru. Próbował coś wytłumaczyć, ale odpowiedź były wyłącznie przyjacielskie poklepywania księdza dziekana. Albert postanowił nie zwiędzać przybytku i od razu rażno wstąpił na kręte schody wiodące na chór. Towarzyszył mu szczerzy zamiar niezwłocznego przystąpienia do pracy. Wygodnie rozsiadł się na zydlu za kontuarem i metodycznie jął lustrować zabytkową gulgutię. Na pewnym etapie oględzin zydel zdradziecko zatrzęszał i... wirtuoz organów runął na podłogę, walnąwszy po drodze w świeżo wyremontowaną szafę. Jak na komendę zaczęły spadać z góry cynowe piszczałki: istny deszcz piszczałek, dotkliwie kaleczący muzyka.

– No to ładnie się zaczyna – pomyślał grajek i od razu zapragnął wrócić do konserwatywnej Filharmonii, w rachityczne objęcia Chopina, Brahmsa, Schumanna i nieśmiertelnego Liszta. Zapewne pragnienie to przeobraziłyby w czyn, gdyby na schodach nie zamajaczyła monumentalna sylwetka księdza dziekana.

– A cóż tam za rumor? Przecież prosiłem, aby nie wykonywać zbędnych ruchów – grzmiał tubalnym głosem.

– Polowa piszczałek nie została osadzona, a zatem jak mam grać? – bronił się Albert.

– Masz Pan trzy dni czasu, to je sobie przykręć. Ja się na tym w ogóle nie znam. Czy to moja wina, że ten, kto organy naprawiał, nagle zachorował i nigdy więcej się nie pokazał?

– Trzeba było od razu powiedzieć prawdę – jęknął organista i organmistrz w jednej osobie.

– Zapewne, ale wtedy mógłby Pan nie przyjechać. Proszę się nie martwić – dodał na odchodnym, widząc osłupienie wirtuozu. – Wszystko będzie dobrze. Moi parafianie śpiewają na pasterkach tak głośno, że organów nie będzie w ogóle słychać...

Powiedziawszy to, uśmiechnął się szeroko niczym Pan Słoneczko i zniknął odwołany do pilniejszych zajęć. Albert pomyślał, że skoro wierni zakrzy-



fol. P. Zyczeński

czą instrument, to jego obecność jest zbędna i od razu zrobiło mu się lżej na duszy. Z drugiej strony należał do ludzi uczciwych, toteż biorąc pieniądze za pracę, pragnął wykonać ją sumiennie i jak najlepiej.

Przystąpił do metodycznego remontu, a miał na to całe trzy dni. Dzień pierwszy spędził na rozkręcaniu i rozbieraniu mechanizmów, wielce dziwiąc się przemyślności nieznanego konstruktora. Dzień drugi polegał na czyszczeniu i składaniu owych części w całość. Kosztowało to zucha tyle, że nie miał sił przystąpić do ćwiczeń.

Rozpoczął je trzeciego dnia z samego rana, ale już po pierwszych taktach okazało się, że instrument w ogóle nie trzyma stroju i brzmi fatalnie. Usilne próby poprawienia sytuacji dawały rezultat odwrotny od zamierzonego. Dźwięki, zamiast stawać się czystsze, stawały się coraz nieznosniejsze i pod wieczór organy wyły, szumiały, chrypiały, skrzypiały niczym nienaoliwione drzwi stodoły.

– Do diabła! Nawet anioł nie miałby cierpliwości tego grata nastroić – zachnął się Albert, otarł pot z czoła i zrezygnowany udał się na nocleg. Z hotelowego pokoiku roztaczał się piękny widok na Zalew Dobzycki: na

wił sobie wirtuoz i czym prędzej zaczął się ubierać. Po kwadransie, z bijącym sercem, usiadł za kontuarem strasznych organów i liczył minuty zbliżające się do północy: – Zaraz wstępną się wyda...

Północ! Pierwszy dźwięk. Palce automatycznie wydobyczą osnowę kołody Cicha noc. Niczym w transie Albert rozwija temat, dziwiąc się, że ludzie posłusznie podejmują podaną melodię. No tak, daczego mają gwizdać, skoro organy brzmią nieskazitelnie, niebiańsko, kryształowo czysto...

– Dziw nad dziwami – mówi sam do siebie, ale nie ma czasu rozpamiętywać dłużej, bo pora na *Triumfy Króla*

Niebieskiego. Ktoś wystrzelił instrument. Kto? Jak to możliwe, by wczorajszy rzeź sam z siebie przemienił się w koncertowe pudło godne najwytrawniejszych wirtuozów?

Dobzycka pasterka trwała bardzo długo. Zakończyła się organową improwizacją na temat: b-a-c-h. Kiedy muzyk zatrzasnął kłapę kontuaru, rozległy się pojedyncze, a potem rześiste brawa. Mimo długich owacji Albert nie pojawił się przed ołtarzem. Wiedział, że jest to jego ostatni koncert.

Tę niezwykłą historię Albert Kunz opowiedział mi po wielu latach. I jego, i mnie intryguje, kto nastroił organy: zły czy dobry duch? Niestety, chyba nigdy nie uzyskamy jednoznacznej odpowiedzi i będziemy zdani na snucie domysłów. Albert przestał koncertować i dziś ogranicza się do napraw oraz strojenia. Podczas tych prac wykazuje się daleko idącą ostrożnością.

Herbert Oleschko

**Intencja II Krucjaty Modlitwy za Ojczyznę
GRUDZIEŃ 2004:
Aby polskie rodziny oparły się pokusom komercjalizacji
i zaświeczeniach świąt Bożego Narodzenia
poprzez właściwe przeżycie Adwentu.**

BARBÓRKA 2004

Z perspektywy katowickiego deptaka albo przystanku tramwajowego nie widać zaciśniętych pięści, poszarzanych twarzy i zdesperowanych spojrzeń śląskich górników. Trzeba włączyć telewizor, otworzyć gazetę albo porozmawiać z człowiekiem pracującym gdzieś na kopalniowym przodku, aby dowiedzieć się o dramatach rozgrywających się wokół większości górniczych sztybów tego regionu. Na ulicach jest cicho. Ich pejzaż zdominowali różni akwizytorzy – postannicy obłąkańczego marketingu, odrzuceni przez przechodniów jak ping-pongowe piłeczki. W powszedniej krzątaninie coś się czai i tylko ten, kto w lipcu widział powybijane szyby dawnego ministerstwa górnictwa przy ulicy Powstańców, nie może uwierzyć, że najbliższa Barbórka, Boże Narodzenie i cały następny rok mogą być lepsze...

Czy mogą mieć nadzieję?

– Mam na utrzymaniu 5-osobową rodzinę – mówi mój sąsiad Roman C., zatrudniony przy wydobyciu w jednej z katowickich kopalń – pracuję już ponad 20 lat, nigdy nie miałem żadnych wpaadek. Przełożeni raczej mnie chwalią, a może nawet lubią. Przez kilkanaście lat przybywa nam roboty, a to, co za nią dostajemy, wciąż jest okrawane. Pewnie, że krew nas zalewa, bo jacyś tam urzędnicy wciąż chcą oszczędzać i zaciskać cudzego pasa! Nigdy nie słyszałem, aby oni odchudzali swoje pękate portfele, do których wkładają po kilkaset tysięcy premii i poborów! Czasem jest to sto razy więcej niż ja zarabiam.

Inny mój znajomy z naprzeciwka sarkastycznie zauważa: – Pan się pytasz, kiedy będzie lepiej? Lepiej, Panie, to już było. Teraz, to tylko pod górę! Jak Panu nie zabiorą, to na pewno nic nie подарują!

Rodzime górnictwo jest już jednym z naczyń globalnego systemu wydobycia węgla. W czasie wakacji światowa koniunktura tej branży znacznie się polepszyła: wzrosło zapotrzebowanie na stal i węgiel; podniesiono ceny, co przyczyniło się do poprawy wyników finansowych i kondycji polskich kopalń. Zdecydowana ich większość została w międzyczasie oddłużona i to wzbudziło nadzieje górniczej braci przez szereg ostatnich lat systematycznie przymuszanej do wyrzeczeń. Trudno się dziwić, że teraz chcieliby co najmniej odzyskać to, co wcześniej utracili. Wielu z nich wciąż

jeszcze nosi w sobie upokorzenia, na jakie ich często narażano, oskarżając o patologicznie roszczeniową postawę i niezdrowy apetyt na przywileje.

Niestety, niektórzy specjaliści od gospodarki i finansów twierdzą, że ów boom jest krótkotrwały, a ostateczne uzdrowienie przedsiębiorstw górniczych wymaga konsekwentnego doprowadzenia do zakończenia procedur restrukturyzacyjno-prywatyzacyjnych. Plotka głosi, że w zaciszu innych menadżerskich gabinetów prognozuje się jednak odważniej i ów, rzekomo krótkotrwały boom, powinien potrwać co najmniej przez 7 tustych lat. Przedstawiciele firm górniczych zauważają z przekąsem, że gdyby nie kilkunastoletnia restrukturyzacja sektora to żadna koniunktura nie potrafiłaby poprawić sytuacji tej branży.

Wątpliwości i spory budzi też sprawa prywatyzacji polskich kopalń. Jednym z przeciwników prywatyzacji jest senator Jerzy Markowski: – Błędem byłoby pozbywanie się kontroli nad górnictwem, bo to jest pozbywanie się kontroli nad bezpieczeństwem energetycznym państwa. Według mnie zasadnym jest częściowe przekazanie odpowiedzialności za wynik finansowy sektora na załogi. Byłoby rozsądne, aby część akcji polskiego sektora górnictwa węgla kamiennego trafiła do załóg. Dla innego rozwiązania nie widzę uzasadnienia. Bo jeśli celem prywatyzacji ma być dostęp do nowoczesnych technologii, to takiej potrzeby nie ma, bo pol-

skie górnictwo jest najnowocześniejsze w Europie, jeśli celem prywatyzacji ma być dostęp do środków finansowych, to też takiej potrzeby nie ma, ponieważ polskie górnictwo ma obecnie dobre wyniki finansowe, przynosi zysk. Jeśli celem ma być dostęp do nowych rynków zbytu, to też takiego problemu nie ma, bo nawet gdybyśmy wydobywali więcej węgla, to więcej byśmy go sprzedawali. Nie ma więc typowych uzasadnień prywatyzacji – konkludował senator.

Jednym z wielu programów dotyczących sektora górniczego jest Plan dostępu do zasobów węgla przygotowany przez Ministerstwo Gospodarki, który będzie stanowił podstawę do nostyfikacji pomocy publicznej dla sektora górnictwa węgla kamiennego.

– Reforma polskiego górnictwa była prowadzona dwa razy szybciej i przy wykorzystaniu mniejszych środków niż reforma górnictwa w Wielkiej Brytanii – przypomina Janusz Steinhoff, dawniej minister gospodarki. W jego ocenie w stosunku do górnictwa i do całego sektora paliwowo-energetycznego w Polsce za dużo tworzy się planów, a za mało podejmuje konkretnych decyzji. Według niego jednym z naglących rozstrzygnięć powinno być połączenie w grupy węglowo-energetyczne i węglowo-koksowe.

W gabinetach i kuluarach toczą się eleganckie dyskusje i futurystyczne rozehowory, a tymczasem przez Górny Śląsk przetoczyła się kolejna fala protestów. Ludzie domagają się wyższych wynagrodzeń, spierają się o treść nowych układów zbiorowych. Wiecują i negocjują. Najbardziej zdecydowaną postawę zajęli pracownicy kopalń należących do Kompanii Węglowej (KW) – największego przedsiębiorstwa górniczego w Europie; Katowickiego Holdingu Węglowego (KHW); Jastrzębskiej Spółki Węglowej (JSW) i Kopalni Węgla Kamiennego Budryk S.A.

W takich okolicznościach, jak zwykle, przedmiotem sporu są, najoogólniej mówiąc, korzyści płynące ze zwiększonego wydobycia i korzystniejszej sprzeda-

ży. Jedni (głównie pracodawcy) nawołują do kumulowania środków na inwestycje zabezpieczające przyszłość firmie oraz stanowiskom robotycznym, inni (głównie zatrudnieni) żądają poprawy sytuacji socjalnej, a przede wszystkim podwyżki wynagrodzeń, ich zdaniem wciąż niewspółmiernych do wysiłku, dzięki któremu funkcjonują kopalnie.

Rozgorzczenia i rozczarowania przeżywa nie tylko osoby wciąż aktywne zawodowo. Ci, którzy jeszcze przed laty (czasem po dwudziestu lub dwudziestokilk

przepracowanych latach) zmienili profesję teraz czują się wystawieni do wiatru.

– Zabrakło mi tylko jednego roku – mówi Danuta W., dawny pracownik kopalnianego dozoru górniczego – gdyby nie pokreślił z tymi przepisami, mogłabym dziś mieć już emeryturę...

Wydaje się, że większość sporów ma szansę zakończyć się podobnie, jak w JSW, do której należy 5 kopalń. Pod koniec czerwca zostało tam zawarte porozumienie zadowolające pracodawców i pracobiorców tej spółki. Związki

domagały się początkowo wzrostu wynagrodzeń o 10 proc., ale ostatecznie uzgodniono trzyprocentową podwyżkę, od lipca począwszy.

Taki scenariusz negocjacji można by uznać za najszczęśliwszy i wzorcowy. Do jego realizacji potrzebna jest jednak dobra wola, roztropność, umiar i chęć do zgody – zarówno tych, którzy dochód wytwarzają, jak i tych, którzy go dzielą. Czy nie zabraknie tego śląskiemu górnictwu?

Henryk Szczepański

Do świąt Bożego Narodzenia jeszcze kilka tygodni. Tymczasem wystawy wielkich sieci sklepów już od miesiąca toną w bożonarodzeniowych dekoracjach. Zupenie jak kilka lat temu, kiedy nagle tuż przed 24 grudnia na stołecznym Placu de Gaulle'a – pojawiła się purynowa palma. Kosztowało to władze Warszawy majątek, ale widać się opłacało, bo stoi do dziś.

Święty market

Wabienie klientów rozpoczęło się niemal dzień po Wszystkich Świętych. Jak po deszczu na witrynach i w tzw. galeriach handlowych zaczęły pojawiać się różnorakie ozdoby i kolorowe choinki. W radio pojawiła się również dość charakterystyczna reklama. Słychać, jak św. Mikołaj mówi: *Ja, a w zasadzie firma...* i tu pada nazwa znanego producenta napojów z kolorową naklejką. Nic dodać, nic ująć. W kraju, w którym niedawno usłyszałem w sądzie, że: *bogiem stała się mamona, tradycyjni święci – ogólnie biorąc – mało mogą. Za to tacy prezesi konferencji międzynarodowych – ci to przynajmniej jakiś prezent zaoferują...*

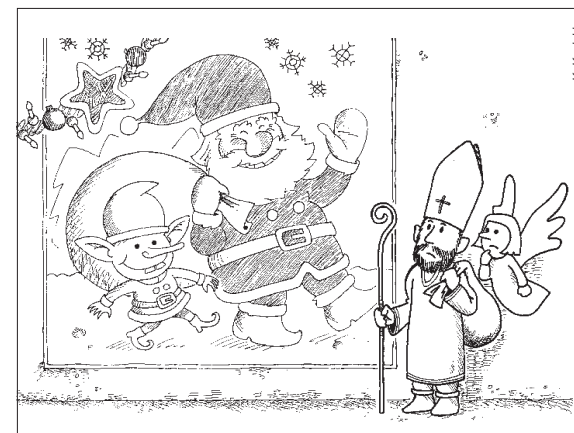
Żadna z wystaw w sklepach wielkopowierzchniowych (czyli marketach) nie miała elementu prawdziwie świątecznego. Nie widać więc stajenki ani Rodziny Świętej, ani nawet Trzech Króli. Ot, wymalowane na kolorowo choinki, trochę bombek i jakieś girlandy. Powstał nastrój nowej świeckiej tradycji. Święta na miesiąc przed terminem. Niezły pomysł, zważywszy, że jeden z członków rządu, a dokładnie osoba odpowiadająca za **Równy Status Kobiet i Mężczyzn** i promująca tzw. związki partnerskie publicznie przyznała, że jej ideałem jest **Revolucja Francuska**. Zgodnie z tym rozumowaniem, rządzą-

cy mają wzorce ściśle określone: walka z Kościołem, rodziną, tradycją... Teraz trzeba jedynie wcielić je w życie. No i tu z pomocą przychodzą sieci sklepów, które zaczynają kreować coraz bardziej konsumpcyjny styl życia. I w ten to sposób powstaje nowy postrewolucyjny: *święty market*.

Swoją drogą, w znajomym sklepie osiedlowym, który w zeszłym roku był przystrajany 23 grudnia, na wystawie pojawiła się zarówno stajenka, jak

i Święta Rodzina. Nikomu to nie przeszkadzało. Co więcej, kupujący byli wyraźnie zadowoleni: mieli do siebie wzajemnie i do personelu sklepu nastawienie bardziej przyjazne. Ogólnie, było, po prostu, świątecznie. Wręcz uroszycie. No, więc można. Tak, ale właścicielka tego sklepu nie ma co liczyć na wsparcie od św. *marketu*. Może się oprzeć na Świętych Pańskich i życzliwości ludzkiej...

Grzegorz Guttman



GOSPODARSKIM OKIEM

Zasiadając do stołu wigilijnego, wypada, byśmy się zastanowili, czy ci konkretni ludzie, często znani nam osobiście, którzy cierpią w naszym kraju niedostatek, w jakikolwiek sposób zasłużyli sobie na to, czy można przypisać im jakąś konkretną winę albo wskazać jakieś okoliczności siły wyższej, które ich zubożyły? W większości wypadków nie! Wynika z tego, że ich biedę spowodowało działanie osób trzecich. Tak więc naszym obowiązkiem zarówno moralnym, jak i patriotycznym jest nie tylko wskazywanie tych osób, lecz także opisanie i napiętnowanie działań, które przyniosły tak fatalne skutki.

Lewica, dialog, bieda (cz. 1)

Wszyscy wiemy, że bezpośrednim objawem biedy jest brak pieniędzy. W skali społecznej jest to spowodowane zbyt małą produkcją dóbr i usług wymienialnych (czyli tym, że mamy za mały PKB na głowę mieszkańca), co nie pozwala na emisję wystarczającej ilości pieniędzy. Oznacza to, że nasi producenci, mimo że jeszcze 15 lat temu sprzedawali wszystko, co wyprodukowali, nie zakupili nowych maszyn, nie przeszkolili ludzi i nie opracowywali nowych produktów. Ten *ciud gospodarczy* spowodował, że do dzisiaj nie ma zadawalającej nas produkcji, a podjęte 15 lat temu reformy gospodarcze były chyba całkiem błędne, skoro po tylu latach reformowania gospodarki łączna wartość wyprodukowanych w naszym kraju dóbr i usług wymienialnych jest niższa od łącznej wartości naszych elementów potrzeb. W wyniku tego dla części z nas nie ma chleba, i to w sensie dosłownym, a nie przenośnym!

Trzeba zauważyć, że obecnie ciężar utrzymania naszego społeczeństwa spoczywa na barkach zaledwie kilku procent społeczeństwa. W sektorze przedsiębiorstw pracuje ok. 2,2 mln osób, z czego prawie 70 proc. to pracownicy administracyjni. Cała produkcja przemysłowa w Polsce jest więc wykonywana przez ok. 1 mln osób. Do tego dochodzą rolnicy – prowadzący gospodarstwa towarowe (ok. 1,5 mln osób wraz z ich pracownikami) i około 200-300 tys. osób zatrudnionych (ale tylko przy produkcji dóbr i usług wymienialnych) w małych firmach oraz w *szarej strefie*. Razem dają to niespełna 3 mln osób, co stanowi nieco ponad 7 proc. społeczeństwa. Każdy producent ma na utrzymaniu 12 osób (oprócz siebie samego).

Trudno się więc dziwić, że jest biednie, bo taka struktura społeczna musi rodzić biedę i tylko z pozoru nie jest w niczym interesie finansowym.

To racja, że tak biedne społeczeństwo uniemożliwia czerpanie dużych zysków z jakiegokolwiek działalności, ale nie oznacza to, że nie ma takiej grupy społecznej, która może mieć relatywnie – w stosunku do reszty społeczeństwa – bardzo wysokie zarobki z zajmowanego etatu i dzięki nim może się wywyższać nad resztę społeczeństwa. A, im większa bieda, tym łatwiej się wywyższyć i wywyższanie się *lepiej smakuje*. Czyli każdy, którego celem życiowym jest wywyższanie się nad innych ludzi, czuje się w Polsce dobrze i zapewne będzie bronił obecnej struktury społecznej po to, by ciesząc się z własnego dostępu, *à reburs* cieszyć się z biedy innych.

Tak nieprawidłową strukturę społeczną zawdzięczamy lewicy hellenistycznej i stworzonej przez nią biurokracji. Chodzi o to, że podstawowym źródłem pieniędzy w całym państwie jest tylko praca osób zajmujących się produkcją dóbr i usług wymienialnych – producentów zaś w ujęciu indywidualnym źródłem pieniędzy jest jakikolwiek wysiłek podejmowany na zlecenie lub w interesie drugiej osoby. W wielu wypadkach pojęcia te są tożsame, ale w niektórych nie. Bo po to, by produkcję mogli w miarę bezpiecznie produkować, musi być wojsko i policja, a po to, by produkowali dobrze, muszą mieć opiekę zdrowotną, oświatę i pozostałe służby publiczne. Wszystkie te i wiele innych grup społeczno-zawodowych mogą ze sobą współdziałać, bo mają wiele cech wspólnych i wszystkie mają interes grupowy zgodny z intere-

sem publicznym.

Prawie wszędzie jest tak, że, aby ktoś mógł więcej zarobić, musi dostarczyć więcej efektów własnej pracy – czyli wszyscy ludzie funkcjonujący wg tej zasady (mając wspólny język) mogą uzgodnić między sobą sposób współdziałania. Ale do konsekwentnego wykonania tych uzgodnień niezbędny jest aparat administracyjny, który będzie sterował przepływami pieniędzy tak, by każdy policjant i nauczyciel dostał swoją pensję. Tyle, że w tym w aparacie państwowym i biurokracji nie ma zgodności interesu prywatnego i społecznego. Ludzie tam zatrudnieni stanowią swego rodzaju układ sterowania. Najlepiej działający układ sterowania to taki, który nie powoduje strat własnych, co w odniesieniu do systemu ekonomicznego oznacza, że nie powinien nic kosztować lub przynajmniej dążyć do tego. Czyli ci, którzy zajmują się sterowaniem finansami publicznymi, nie powinni nic zarabiać lub przynajmniej do tego dążyć, a jest to ewidentnie sprzeczne z ich interesem osobistym i – co bardzo ważne – sprzeczne ze specyficznym, ale dość rozpowszechnionym pojęciem sprawiedliwości.

I właśnie to pojęcie sprawiedliwości musimy zakwestionować, by poprawić los biednych, gdyż społeczne skutki tego konfliktu interesów są bezpośrednią przyczyną naszej biedy. Bo tylko wtedy, gdy wszystkie lub prawie wszystkie pieniądze, pobrane od producentów jako podatki, wrócą do systemu gospodarczego w postaci usług publicznych ułatwiających produkcję, *per saldo* społeczeństwo nie poniesie szkody.

**Cdn.
Paweł Gospodarski**

IN FLAGRANTI

Od ponad roku opinia publiczna oczekuje od prezydenta zajęcia się zmianą ordynacji wyborczej, to znaczy przedstawienia Sejmowi projektu, który po dyskusjach i modyfikacjach parlamentarnych byłby wpisany do Konstytucji. Prezydent zrazu nie reagował na te apele, aż wreszcie publicznie podjął temat i stwierdził, że *demokracja polska jeszcze nie dojrzała do postulowanej ordynacji jednomandatowej, większościowej. I nic więcej nie dodał. Widocznie uznał, że wcale nie musi uzasadniać swej opinii, wskazywać na przesłanki, które prowadziłyby do wniosku o niedojrzałość naszej demokracji.*

Niedojrzałość demokracji

Piotr Wierzbicki, redaktor naczelny *Gazety Polskiej*, na łamach swego tygodnika napisał, że *nie rozumie, jak demokracja może być dojrzała lub niedojrzała; dojrzała – dodał żartobliwie – może być na przykład śliwka...*

Jeśli do najbliższych wyborów parlamentarnych nie zostanie – a najprawdopodobniej nie zostanie – w Konstytucji zmieniony zapis o ordynacji z proporcjonalnej na większościową, jednomandatową lub mieszaną: proporcjonalno-większościową, to nasz parlament będzie, tak jak dzisiaj, dla polityków partyjnych li tylko areną rywalizacji o senekury.

A jest to groźba zupełnie realna. Przecież niedawna wypowiedź premiera Marka Belki, że *w Polsce jest za dużo podmiotów gospodarczych* (sic!) oraz zamiar rządu podniesienia prosperującym firmom składowki na ZUS, która i tak jest największa w Europie – stanowią zapowiedź utrwalenia naszego politycznego i gospodarczego *status quo*.

Demokracja polska jest w rzeczy samej ułomna, gdyż jest degenerowana układami oligarchiczno-partyjnymi. Oligarchia zaprzecza demokracji. Ustrój demokratyczny jest możliwy tylko tam, gdzie na rynku wielki biznes sciera się i walczy o klientów z nieprzeliczoną wręcz liczbą średnich i małych przedsiębiorstw. W normalnych krajach kapitalistycznych od 60 do 70 proc. dochodu narodowego wytwarzają właśnie mali i średni przedsiębiorcy, a ponieważ jest ich właśnie dużo i mają środki materialne, umieją wpływać na rządy.

W PRL uczeni marksiści posługiwali się francuskim określeniem *petits bour-*

geois – mali burżuazje, tchnąc oczywiście w te słowa bezmiar swej pogardy i niechęci. Natomiast aparatczycy partii marksistowsko-leninowskiej posługiwali się swojskim określeniem: *prywatycarze*, które wyrażało jeszcze większą abominację. Ów *prywatycarz* przetrwał Polskę Ludową i do dziś straszy miliony Polaków.

A zatem wedle słów i projektów premiera *et consortes* w III Rzeczypospolitej ma być mniej owych *prywatycarzy*. No, bo jak by to w tradycji bolszewickiej miało wyglądać, że są wśród nas *prywatycarze*, że rozwija się mała burżuazja, a proletariaci i chłopci ciężko pracują *rekomą czarnymi od pluga...*

Może tu ktoś zapytać: jak to? O czym piszę? Wiąże z sobą logicznie, wszak gospodarka to nie rzeczywistość polityczna, w przeciwieństwie do demokracji. W dosłownym tłumaczeniu demokracja znaczy *rządy ludu*. Wszelako zauważmy, że lud rządzi się suwerennie jedynie wtedy, kiedy, po pierwsze, ma pieniądze na rywalizację o dostęp do instrumentów rządzenia; po wtóre – jeśli wszyscy z owego ludu traktują się wzajemnie tak samo, to znaczy przestrzegają zasad sprawiedliwego i uczciwego korzystania ze środków produkcji; po trzecie wreszcie – gdy bez żadnych przywilejów i oszustw, jednakowo, tak jak sam lud ustalił w swych ustawach zasadniczych, wybiera spośród siebie najlepszych do rządzenia sobą.

Zwróćmy uwagę, że na pierwszym miejscu wymienione są pieniądze. Tak – podstawowym warunkiem demokracji, jej głębi, jest majątność *demosu*, czyli ludu. W społecznościach biednych

nie ma demokracji, są zaś: niewolnictwo, feudalizm, dyktatura, oligarchia itp. W normalnym kraju gospodarka tworzy warunki dla demokracji; a demokracja, żeby trwać, ochrania gospodarkę, która umożliwia ludowi nie tylko godziwe życie, ale przede wszystkim aktywne uczestnictwo we wszystkich procesach demokracji. *Nie potrzebujemy więcej rządu, ale mniej rządu w gospodarce* – napisał w *Rzeczpospolitej* Maciej Rybiński, niezastąpiony tropiciel absurdów III RP, albowiem mniej rządu to więcej wolności obywatelskiej, a tym samym silniejsza, dojrzałsza demokracja...

Pewien mój znajomy powiedział mi niedawno, że *dzisiejsza rzeczywistość polityczna przypomina mu czasy saskie*. Aż mi skóra ścierpła, bo jeśli to prawda – to co będzie dalej?

A swoją drogą znamienne, że premierowi się wydaje, iż za dużo jest firm prywatnych, nadmierna liczba urzędników państwowych natomiast wcale go nie niepokoi. Nie przeszkadza mu ten przerost biurokracji? A nie przeszkadza, ponieważ za wzorem Rosji sowieckiej w Polsce Ludowej, która uformowała premiera, każdy mieszkaniec, jeśli nie miał w *PZPR chodów*, nie mógł nic samodzielnie przedsięwziąć. Spowity był siecią administracyjnych zakazów i nakazów, nie mówiąc już o inwigilacji politycznej.

Prezydent ma więc jednak rację: nasza demokracja jest niedojrzała, ponieważ jest uwarunkowana potężnymi pozostałościami poprzedniego państwa, z nader wątlmym wolnym rynkiem, w który coraz agresywniej wtrąca się rząd, i z monstualnymi układami partyjno-oligarchiczno-mafijnymi – właśnie jak w PRL. Tylko dlaczego pan prezydent w swej słusznej opinii nie wskazał tej przesłanki?

Jacek Wegner

W poprzednim *In flagranti* popełniłem mały, acz ważny w logice wywodu, błąd. Otóż w drugiej szpalcie w pierwszym wierszu powinienem napisać: *W tej obronie rządu*, a nie *Sejmu*. Proszę Czytelników i Redaktorów, żeby łaskawie uznali tę pomyłkę za zwykły *lapsus*. **J.W.**

NASZE LEKTURY

Gdy z różnych stron starają się nam wmówić, że, w gruncie rzeczy, jedyną prawdziwą wartością jest pieniądz, zdobywany wszelkimi sposobami (a więc także tymi niegodziwymi), wykonywana zaś przez człowieka praca – bez względu na jego talent, przygotowanie fachowe i posiadane umiejętności – jest tylko *najtańszym towarem na rynku* – to, jak objawienie innego świata: pełnego spychanych w niebyt lub zapomnianych, ale za to prawdziwych wartości, jawi się nam autobiografia prof. dra hab. inż. **Jerzego Juliana Węgierskiego**, zatytułowana **Bardzo różne życie**.

Ciernista droga

Jako prawnik uczestnika *Powstania Listopadowego* – Antoniego Domaszewskiego i zarazem wnuk uczestnika *Powstania Styczniowego* – Wacława Domaszewskiego, niejako siłą rzeczy zostaje wychowany na patriotę. To również sprawa tradycji rodzinnej.

Zaprzyśnięty jako żołnierz *Armii Krajowej* zostaje mianowany komendantem wiejskiego rejonu Wirniki w Dzielnicy Wschodniej Lwowa. Wraz z Kedywem Komendy Okręgu dokonuje opróżnienia składu materiałów wybuchowych firmy *Swietelski*, która zatrudniła go przy budowie drogi, jednocześnie skutecznie kierując podejrzenia *gestapo* na działających w tej okolicy nacjonalistów ukraińskich. Organizuje też komórki dywersji na własnym terenie oraz Wojskową Służbę Kobiet i Służbę Ochrony Powstania.

22 lipca 1944 r., we Lwowie, po rozpozuciu przez *AK* działań wojskowych w ramach operacji *Burza*, dowodzący skutecznie kilometrowym odcinkiem obrony. Broni przed Niemcami dojścia do miasta na linii Pierwsza Wólka – Druga Wólka.

Po powrocie do Lwowa J. Węgierski zostaje mianowany oficerem informacyjnym *NIE* w Dzielnicy Wschodniej. *NKWD* aresztuje go w dniu trzydziestych urodzin – 13 lutego 1944 roku. Aresztowana zostaje też jego matka, kurierka *Dowództwa Okręgu AK*, pracująca na trasie Lwów – Warszawa, która w 1943 r. spędziła trzy miesiące w więzieniu *gestapo*. W różnych sprawach oboje otrzymują ten sam wyrok – *dziesięć lat łagrów*.

Po krótkim pobycie w Spassku Au-

tor zostaje przewieziony do specobozu na terenie Kazachstanu – do Ekibastuzu. Pracując jako *dziesiętnik* w brygadzie budowlanej, pierwszy raz spotyka tam Aleksandra Sołżenicyna.

Próby *przykręcenia śruby* przez władze i nowego komendanta (podejrzewano go o prowokację) kończą się buntami więźniów, strzelaniną i strajkiem głodowym. Po spacyfikowaniu strajku, propozycją szkodliwego rozdawnictwa jedzenia J. Węgierski odmawia uczestniczenia w sutej kolacji. Z podziwem odnotowuje w *Archipelagu Gulag*, pisząc tam m.in.: *Gdybyśmy wszyscy byli tacy dumni i nieustępliwi – to jaki tyran by się ostał?* Wspomina też o tym w swym liście do Autora, przytoczonym w autobiografii, a pochodzącym z 1963 roku.

Za bierny protest przeciwko przetrwaniu głodówki J. Węgierski trafia do ostatniego obozu – do *Dżezkazganu*, przy kopalniach miedzi.

W tym fragmencie wspomnień J. Węgierskiego na szczególną uwagę Czytelnika zasługują dwa fragmenty. Jeden z nich dotyczy właśnie pobytu w obozowym szpitalu, gdzie odwiedzali go zaprzyjaźnieni współwięźniowie, wśród nich był Władysław Bukowiński (który później pobłogosławił Autorowi małżeństwo w Karagandzie). Toczyli tam długie dyskusje na różne tematy. Książd był bardzo zaskoczony, gdy J. Węgierski zaproponował, jako kolejny temat rozmowy: *etykę w zawodzie inżyniera...* Po powrocie do Polski Autor także często rozmyślał o jej braku, widząc, niby prozaiczne, tego skutki: źle odwodnione ulice czy błędnie wykona-

ne schody uliczne, co było powodem uciążliwości i nieraz nawet poważnych kłopotów, a nawet kontuzji poruszających się pieszo. Temat *etyki inżyniera* starał się później, już jako pracownik naukowy na Śląsku, uczynić przedmiotem wykładów dla studentów. Niestety, bez skutku...

Drugi fragment dotyczy Mszy św., odprawianych na narach w obozowym baraku przez grekokatolickiego księdza z Zaleszczyk Konrada Werhuna. Fragmentowi temu towarzyszy przepiękny wiersz napisany przez J. Węgierskiego w dniu pogrzebu młodego współwięźnia – Iwowiaka Franka Pieściönka (13 X 1953 r.).

Opisane dalej przez Autora w *Bardzo różnym życiu* kolejne jego okresy są logiczną konsekwencją przeżytych doświadczeń.

Kamienie milowe na tej drodze, po zwolnieniu J. Węgierskiego z obozu 14 sierpnia 1954 r. to: spotkanie z matką po jej powrocie z obozu w Astrachaniu w lutym 1955 r.; rejestracja na wyjazd do Polski 14 lipca 1955 r.; spotkanie w *Dżezkazganie* z Józefą (Ziutą) Hrozdycjówną – *korespondencyjną* narzeczoną 14 września 1955 r. i zawarcie z nią związku cywilnego 17 września tego roku; sakrament małżeństwa 26 listopada 1955 r. – pobłogosławiony w Karagandzie przez ks. W. Bukowińskiego (*z potwierdzeniem* tego faktu na zdjęciu kapłana); przekroczenie obecnej granicy polskiej 11 grudnia 1955 roku. Kolejne lata to ciąg sukcesów zawodowych J. Węgierskiego uwięziony w czerwcu 1973 r. tytułem profesora.

Kariera naukowa i zawodowa nie zakłóciła mu jednak harmonijnego życia rodzinnego, które rozpoczęło się przyjazdem żony do Polski w czerwcu 1956 roku. Z dzieci, narodzonych z tego związku: pierworodnego syna i trzech córek – najmłodsza Urszula, zgodnie z tradycją rodzinną, przywdziała habit zakony.

Cezary Bunikiewicz

Książkę *Jerzego J. Węgierskiego: Bardzo różne życie* można zamówić listownie u Autora pod adresem: ul. 1000-lecia 41/34; 40-879 Katowice

CHWILA MUZYKI

Nieumiarkowanie

Artysta, z natury swojej, jest przede wszystkim istotą nieumiarkowaną. Huśtawki nastrojów i apetytów, spiętrzenia w pracy, nieustający stres i emocjonalne rozwibrowanie, większości z twórców niezbędne do kreacji, powodują, że umiar w zestawie cech właściwych artystom plasuje się na jednym z ostatnich miejsc. Sztuka wszak powstaje z wielkiej miłości do świata, często nieświadomionej, a bardzo często – nieodwzajemnionej. Artysta chciałby być kochany za swoje dzieła, doświadcza tego jednak, niestety, bardzo rzadko. Więc próbuje na różne sposoby przekroczyć własne granice, mając złudną nadzieję, że jeśli napisze, namaluje lub zagra coś piękniejszego, to *ładność* będzie kochała go bardziej. Brodzi po bezdrożach swej wyobraźni, poszukuje inspiracji na obrzeżach świadomości, wprawia się w trans... Potem przychodzi chwila konfrontacji

z rzeczywistym odbiorcą – i okazuje się, że jego główne marzenie o byciu kochanym musi pozostać niezaspokojone. I stąd nocne imprezy zaprawiane alkoholem i środkami odurzającymi oraz ekscesy w pokojach hotelowych podczas tras koncertowych, które są niczym innym jak ucieczką od jasnego uzmysłowienia sobie tego przerażającego faktu.

Kolejne zagrożenie artysty to jego konieczna w tym fachu nadwrażliwość. Nieustannie *cierpienie* za miliony wymaga się co jakiś czas znieczulenia – a nie tak nie znieczula duszy, jak używki właśnie. Dlatego trudno się dziwić, że nie-szczęśliwi twórcy lgną do nich i uzależniają się od nich tak, jak cierpiący na raka uzależniają się od morfiny.

Ponadto twórcy jest dość trudno funkcjonować w próżni. Środowisko zaś konsoliduje się podczas nieformalnych spotkań, kłótni i dyskusji, w któ-

rych niemalą rolę odgrywa zastawiony stół... W takim środowisku trudno jest w pełni zaistnieć komuś, kto nie dotrzymuje innym kroku w wychylaniu kolejnych kielichów. Jest to bardzo niebezpieczne dla ludzi o słabszej głowie czy słabszym systemie nerwowym. Grozi im bowiem utrata kontroli nad samym sobą, zanik sił twórczych, nierazko choroba psychiczna. Historia sztuki pełna jest takich przypadków, często zakończonych samobójstwem.

Można więc zaryzykować twierdzenie, że choć być może wśród grzeszących nieumiarkowaniem w jedzeniu i – przede wszystkim – piciu odstetek artystów jest nieproporcjonalnie duży, to jednak znaczną część kary za swój grzech odbywają oni już tutaj, w swym ziemskim bytowaniu. I można też mieć nadzieję, że Pan Zastępów, który zna wszystkie najdrobniejsze drgnienia duszy każdego z nas, a więc także każdego zapjazconego twórcy, spojrzysz łaskawym okiem na jego niekwestionowaną miłość do świata – i obdarzy go pokojem.

Maria Szreder

Ewolucja

Pan Wacław jest ewolucjonistą amatorem. Emocjonuje się i inspirować przez Darwin, ale rozwija je w duchu humanistyczno-poetyckim.

– *Kiedyś* – powiada – *pewni ludzie bywali prorokami. Proszę przeczytać!* – podtyka mi wiersz Lermontowa: *Nadzieje rok – czarny Rosji rok, / Kiedy spadnie carów korona, / Zapomni czerną dawną do nich miłość, / I strawą wielu będzie śmierć i krew, / I głód krajem potrzasać będzie, / I luna się odbije w falach rzek, / Aż dnia pewnego stanie mocny człowiek, / I ty go poznasz i zrozumiesz, / Dlaczego w jego ręce krwawy nóż...*

– *Lermontow* – krzyczy Wacław – *z prawie stuletnim wyprzedzeniem przewidział rewolucję bolszewicką i Stalina! Daleko widzieć potrafił także nasz*

Mickiewicz, który już w XIX wieku zobaczył Katyń, czego świadectwem jest wiersz Do matki Polki. A Niemiec Stefan George? Ten znowu z wyprzedzeniem z ogromną dokładnością ujrzał Hitlera...

– *Natomiast dziś* – Wacław smutnie – *ludzie oślepli. Przez lata bardzo uważnie i wnikliwie czytałem setki wierszy.*

Jerzy Trammer



PS. W grudniu 2004 r. ukaże się książka Jerzego Trammera *Tylem*.

PRZEGLĄD PRASY

W ubiegłym miesiącu największą uwagę prasy przyciągała afera Orlenu i mafijne powiązania czołowych polityków z biznesem, ja jednak oderwę się w tym przeglądzie od spraw krajowych, by poświęcić parę słów temu, co dzieje się z naszą wschodnią granicą. A dzieje się tam niemało i – co ważne – są to wydarzenia istotne dla Polski i Polaków. Po pierwsze z powodu tradycyjnych więzów łączących nas od wieków z Litwą, Białorusią i Ukrainą. Po drugie, że są to nasi najbliżsi sąsiedzi, z którymi powinniśmy mieć dobre stosunki polityczne i gospodarcze bez względu na to, kto w tych krajach sprawuje władzę.

Własna droga Wschodu

Zacznijmy od Litwy. W połowie października odbyły się tam wybory parlamentarne, wygrane przez **Partię Pracy Rzeczpospolita (Rz)** alarmowała na pierwszej stronie, że **Na Litwie tryumfują populści** i podkreślała rosyjskie pochodzenie Wiktora Uspaskicha – przywódcy i założyciela tej nowej partii, utworzonej zaledwie kilka miesięcy temu. **Polityka i Wprost** wskazywały na jego powiązania z wielkim kapitałem rosyjskim i wyrażały obawy, że Litwa wejdzie teraz w orbitę politycznych wpływów Rosji, co zarówno w Polsce, jak i w całej **Unii Europejskiej** nie będzie dobrze przyjęte. Obawa taka jest oczywiście uzasadniona, warto jednak zastanowić się, co takiego stało się na Litwie, że wyborcy masowo opowiedzieli się za rdzennym Rosjaninem, który osiadł w ich kraju zaledwie 19 lat temu i do tej pory nie mówi płynnie po litewsku. Publicysta **Rz** pyta retorycznie, *co stało się z ich [zn. Litwinów] dumą narodową?*, ale takie widzenie problemu niczego nie wyjaśnia. Zauważmy najpierw, że do urn poszło zaledwie 37 proc. wyborców (w poprzednich wyborach 52 proc.) i była to w historii niepodległej Litwy najniższa frekwencja. Odpowiedź na pytanie: *dla czego ludzie nie idą głosować?* jest raczej oczywista: nie wierzą, że to cokolwiek zmieni w ich życiu, albowiem takie mają doświadczenie z ostatnich kilkunastu lat. Ci zaś, którzy głosowali, opowiedzieli się przeto

za radykalną wymianą całej elity politycznej. – *A co nam przeszkadza* – powiada rdzenna Litwinka na łamach **Rz** – *że Rosjanin. Jeżeli potrafi dobrze rządzić, to niech i rządzi Litwą. Widzieliśmy w telewizji, jak potrafił uporządkować Kiejdany, może taki sam porządek zaprowadzi na całą Litwę...* Kropkę nad i stawia **Gazeta Wyborcza: Poparcie dla Uspaskicha deklarują wyborcy przekonani, że krajem rządzi skorumpowana klika ludzi o polityczno-gospodarczych powiązaniach...** Robert Mikić w korespondencji z Litwy dla **Rz** wyjaśnia: *Uspaskich jest wcieleniem nadziei na lepsze jutro dla wielu kłopotliwych biednych mieszkańców...*

Na tym tle warto zapytać, co tak naprawdę liczy się dla przeciętnych ludzi, którzy żyją wyłącznie z pracy własnych rąk. Nie tylko na Litwie czy w Polsce, lecz także w każdym kraju, na przykład w bogatych Niemczech. Niedawno wszystkie media informowały o pewnej ankiecie przeprowadzonej na terenie byłej NRD. Aż 20 proc. wschodnich Niemców przywitałoby radośnie ponowny podział kraju i powrót ustroju komunistycznego! Ponad 35 proc. jest wyraźnie niezadowolonych ze zmian, jakie nastąpiły po zjednoczeniu kraju. Dlaczego? Otóż te 20 i 35 proc. stanowią ludzie, których sytuacja życiowa znacznie się pogorszyła. Fakt, że żyją w wolnym kraju, gdzie nie ma cenzury i wszechobecnej policji, że mają w domu paszport i mogą swobodnie

podróżować po świecie nie stanowi dla nich żadnego zadośćuczynienia za to, że nie mają pracy, perspektyw i znaleźć się na społecznym marginesie. Oni czują się zapomniani, odrzucony i niepotrzebni, albowiem kolejne rządy nie robią niczego, aby ich sytuacja uległa poprawie. Ludzie dochodzący do władzy w kolejnych wyborach postrzegani są jako ci, którzy myślą nie o kraju, ale o napchaniu własnych kieszeni. I dlatego, tak jak na Litwie, większość wyborców nie idzie po prostu do urn, ponieważ nie wierzy, że nowy parlament będzie choć trochę inny od poprzedniego.

W tej sytuacji przestaje dziwić fakt, że Łukaszenko tak łatwo wygrał na Białorusi swoje referendum, pozwalające mu po raz trzeci ubiegać się o prezydenturę.

Co do Ukrainy, to kwestia pozostanie otwarta, dopóki nie poznamy wyników tamtejszych wyborów prezydenckich. Trzeba jednak pamiętać, że Brusela (a także **NATO**) nie raz wysyłała do Kijowa sygnały, iż nie widzi Ukrainy wśród członków **Unii**. Mówi się o Turcji, ale nie o Ukrainie, a przecież Ruś Kijowska była jednym z najstarszych państw europejskich i jej dążenia do integracji z Europą powinniśmy ze wszelkimi siłami popierać. Niestety, nie umiemy robić tego skutecznie. Bo zamiast doznawać chwilowej satysfakcji z tego, że **Rada Europy** wysłała na Ukrainę Cimoszewicza powinniśmy przekonać Strasburg, że lepszym kandydatem na obserwatora tamtejszych wyborów byłby Brytyjczyk lub Hiszpan.

Andrzej W. Pawluczuk

PS. A za niecałe trzy lata – kolejne wybory prezydenckie w Rosji. Już dzisiaj nikt nie ma wątpliwości, że Putin ma ochotę na trzecią kadencję. Pozostaje tylko kwestia, jak to sobie załatwi. Czy na sposób Łukaszenki, czy może bardziej subtelnie? Zobaczmy. W każdym razie widać, że wschód Europy zaczyna iść własną drogą, nie bacząc na polajanki z Warszawy i Brukseli.

A.W.P.

W naszym świecie, pojmowanym jako globalna wioska co pewien czas powraca na wokandy zagadnienie małżeństw mieszanych rozumianych jako związki pomiędzy katolikami i niekatolikami. Powstają liczne pytania o zasadność zawierania takich małżeństw.

Małżeństwa mieszane

Aby uniknąć niepotrzebnych trudności i rozczarowań Kościół odradza zawieranie małżeństw mieszanych. Niebezpieczeństwo polega na tym, że wizja rzeczywistości wypływająca z wyznawanej religii lub wyznawanego ateizmu może mieć negatywny wpływ na rozwój religijności małżonków, prowadząc do religijnej oziębłości. Początkowe nieuwzględnianie różnic wyznaniowych może prowadzić w późniejszym okresie do podziału rodziny. Małżeństwo niejednolite wyznaniowo może prowadzić do zaburzenia pełnej harmonii duchowej w małżeństwie i rodzinie. Rzeczywistość nad wyraz dowodzi, że małżeństwa mieszane utrudniają wykonywanie obowiązków religijnych obydwu osobom i często prowadzą do osłabienia wiary u katolików, których życie wystawione jest na poważne próby i życiowe egzaminy.

Dodatkowo występuje jeszcze zakłócenie w procesie wychowawczym pojawiających się dzieci. Dla właściwego wychowania koniecznością staje się zachowanie jednej koncepcji wychowawczej. Ścierające się dwie płaszczyzny powodują, że dziecko staje na bezdrożu i nie wie, w którym kierunku podążać. W takiej sytuacji trudno jest zachować rodzicielską jedność w wychowywaniu. Doświadczenie życia, a także socjologiczne obserwacje jasno wykazują, że konflikty na tym tle w małżeństwach mieszanych są nieuniknione. Dopóki nie ma dziecka życie staje się możliwe, ale w momencie jego zaistnienia zaczynają się pierwsze kłopoty. Kwestia wychowania dziecka może bardzo poróżnić rodziców, a niekiedy wprowadzić poważny rozłam w ich życie.

Należy również podkreślić, że rodzic katolik, dla którego przywiązanie do religii jest wyzwaniem i zobowiązaniem, nie może narażać się na osłabienie, a w dalszej konsekwencji na utratę wiary (Statystyki pokazują, że o wiele rzadziej w takich małżeństwach zyskuje małżonek katolicki. Jego wiara bardzo często doznaje uszczerbku.). Podobnie, wychowanie katolickie dziecka nie może stracić na wartości.

Mimo że nauka Kościoła odradza zawieranie małżeństw mieszanych, to jednak nie ma prawa ich zakazywać. W związku z tym, aby w miarę możliwości zabezpieczyć dobro obu stron i ważne zawrzeć taki związek **Pravo Kanoniczne** domaga się spełnienia trzech warunków:

- małżonek katolik zobowiązany jest oświadczyć gotowość odstąpienia od siebie niebezpieczeństwa utraty wiary i złożycy szczerze przyrzeczenie;
- małżonek niekatolik musi być świadomy treści przyrzeczenia i obowiązku małżonka katolika;
- obydwie strony mają być pouczone o celach i przymiotach małżeństwa, których żadna ze stron nie może wykluczyć (*kan. 1125*).

ks. Robert Nęcek

Odcinek dla banku zł..... słownie..... złotych..... wpłacający..... adres.....	Odcinek dla posiadacza rachunku zł..... słownie..... złotych..... wpłacający..... adres.....	Odcinek dla poczty zł..... słownie..... złotych..... wpłacający..... adres.....	Odcinek dla wpłacającego zł..... słownie..... złotych..... wpłacający..... adres.....
„Powściągliwość i Praca” ul. Piłsudskiego 248/252 05-261 Marki 4 PKO BP SA IV OI W-wa Filia Wołomin nr 08 1020 1042 0000 8302 0009 1181	„Powściągliwość i Praca” ul. Piłsudskiego 248/252 05-261 Marki 4 PKO BP SA IV OI W-wa Filia Wołomin nr 08 1020 1042 0000 8302 0009 1181	„Powściągliwość i Praca” ul. Piłsudskiego 248/252 05-261 Marki 4 PKO BP SA IV OI W-wa Filia Wołomin nr 08 1020 1042 0000 8302 0009 1181	„Powściągliwość i Praca” ul. Piłsudskiego 248/252 05-261 Marki 4 PKO BP SA IV OI W-wa Filia Wołomin nr 08 1020 1042 0000 8302 0009 1181
Datownik..... Opłata..... podpis przyj.....	Datownik..... Opłata..... podpis przyj.....	Datownik..... Opłata..... podpis przyj.....	Datownik..... Opłata..... podpis przyj.....

PLASTYKA

Sacrum z Wiednia

Jak bardzo ważna w organizowaniu prezentacji dzieł sztuki jest przemyślana ekspozycja, przekonujemy się, zwiędając jedną z najważniejszych wystaw mijającego roku: *Transalpinum* w warszawskim Muzeum Narodowym. Wystawa gromadzi obrazy, zarówno ze sławnego wiedeńskiego *Kunsthistorisches Museum*, jaki i z placówek polskich. I właśnie trafne zestawienie dobrze nam znanych dzieł sztuki zachodniej ze zbiorów polskich z arcydziełami wiedeńskimi przypomina i podkreśla wysoką jakość artystyczną obrazów przechowywanych w naszych galeriach.

Oczywiście, trudno się dziwić, iż największe zainteresowanie budzą właśnie dzieła przywiezione z Wiednia: po pierwsze są mało znane większości Polakom, a po drugie ich autorzy to najwybitniejsi artyści w dziejach sztuki europejskich, jakich niestety w zbiorach polskich prawie nie spotykamy. Tytuł wystawy *Transalpinum. Od Giorgiona i Dürera do Tycjana i Rubensa* nawiązuje do sieci szlaków artystycznych wiodących z Europy Północnej przez Alpy do renesansowej Italii, a także do dróg, którymi wędrowały dzieła włoskie, i którymi powracali z artystycznych wojaży zarówno północni artyści, jak i światli mecenasi sztuki i jej pierwsi kolekcjonerzy. Wystawa toczy się więc dwoma torami wyznaczającymi jej wewnętrzny porządek. Droga artystyczną mówiącą o wybitnych twórcach i ich niezwykłych dziełach oraz nurtem dzieł kolekcjonerstwa, ukazującym topografię europejskich zbiorów, stymulujących rozwój sztuki.

Niezwykle ważną rolę w rozkwicie sztuki od XV do XVII w. odegrały dzieła przeznaczona dla Kościoła lub poświęcone tematowi religijnym. Warszawska wystawa prezentuje ich znaczny wybór, i to zarówno wśród 43 obrazów pochodzących z Wiednia, jak i wśród 38 malowideł ze zbiorów polskich. Widzimy więc m.in. *Adorację Dzieciątka* integralnie połączoną ze sceną *Ukrzyżowania* pędzla włoskiego malarza Fra Diamante (1430 – 1492) i *Pokłon pasterzy* flamandzkiego artysty Pietera Coecke'a van Aelsta (1502 – 1550), oba te dzieła z kolekcji warszawskiego Muzeum Narodowego poświęcone są scenom Bożego Narodzenia. Z *Kunsthistorisches Museum* przyjechał wspaniały wizerunek *Kardynała Niccolò Albergatiego*, namalowany przez najwybitniejszego portrecistę XV w. Jana van Eycka (1390 – 1441), *Święta Rodzina ze świętym Agapitem* Albrechta Altdorfera (1480 – 1538) czy też mistrzowsko wkomponowana w półkolistą kamienną niszę *Madona z Dzieciątkiem* Jana Gossaerta (1481 – 1532).

Te wszystkie piękne religijne obrazy można oglądać w Warszawie do 10 grudnia br, później zaś w Muzeum Narodowym w Gdańsku (do 15 lutego 2005 r.).

Jarosław Kossakowski



Powściągliwość i Praca w każdej ilości można nabyć u kolporterów *Gościa Niedzielnego*

DRODZY CZYTELNICY !

Informujemy, że cena jednego egzemplarza miesięcznika

Powściągliwość i Praca

nie zmienia się i wynosi **4,00 zł.**

Zachęcamy do prenumeraty naszego czasopisma.

Koszty wysyłki pokrywa redakcja.

Prenumerata krajowa 1 egzemplarza wynosi:

roczna – 48 zł
półroczna – 24 zł

Prenumerata zagraniczna 1 egzemplarza wynosi:

w Europie:
roczna – 30 \$
półroczna – 15 \$
w pozostałych krajach:
roczna – 46 \$
półroczna – 23 \$
(lub równowartość w zł)

Przy zamówieniu 10 egzemplarzy udzielamy rabatu.

Aby otrzymać *Powściągliwość i Pracę* do domu, wystarczy czytelnie wypełnić zamieszczony obok blankiet, zaznaczając na odwrocie okres prenumeraty oraz liczbę egzemplarzy, wyciąć go oraz wpłacić na pocztę odpowiednią kwotę.

Prenumeratę można rozpocząć w dowolnym czasie na okres roku lub półroczna.

Prenumerata miesięcznika *Powściągliwość i Praca* może stanowić szczególnie miły upominek dla przyjaciół lub krewnych, zwłaszcza mieszkających za granicą, a także dla starszej lub chorej osoby, której skromna emerytura wystarcza jedynie na podstawowe potrzeby.

Rozpowszechniając prasę katolicką, włączasz się w dzieło *Nowej Ewangelizacji, przyczyniasz się do formowania zdrowej opinii publicznej, pomagasz innym odkrywać piękno ewangelicznych wartości, stajesz się świadkiem Chrystusa.*

Stałych Czytelników *PIP* zachęcamy do propagowania naszego miesięcznika wśród krewnych i znajomych, a tym, którzy już przyczynili się do jego popularyzacji, serdecznie dziękujemy.

W razie jakichkolwiek nieprawidłowości związanych z realizacją prenumeraty, uprzejmie prosimy o pilną informację na adres redakcji.

Prenumerata miesięcznika Powściągliwość i Praca na rok 2005	<input type="checkbox"/> – półroczna <input type="checkbox"/> – roczna – egz.	Bóg zapłać!
Prenumerata miesięcznika Powściągliwość i Praca na rok 2005	<input type="checkbox"/> – półroczna <input type="checkbox"/> – roczna – egz.	Bóg zapłać!
Prenumerata miesięcznika Powściągliwość i Praca na rok 2005	<input type="checkbox"/> – półroczna <input type="checkbox"/> – roczna – egz.	Bóg zapłać!
Prenumerata miesięcznika Powściągliwość i Praca na rok 2005	<input type="checkbox"/> – półroczna <input type="checkbox"/> – roczna – egz.	Bóg zapłać!